

OGNISKO
DOMOWE
Tygodnik

DZIENNIKARZ

WARSZAWA
dnia 9 (21) Maja
1875 r.

„OGNIŚKO DOMOWE” wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
” ” na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —
kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCJA
przy ulicy Bielańskiej
Nr 8 nowy.

MILIONERZY.

Warszawa jest główną przedstawicielką handlu i przemysłu krajowego i jedynym składem w którym mieszkańcy nie tylko Królestwa Polskiego, ale i przyległych gubernii Cesarstwa, zaspokoić mogą rozliczne swoje potrzeby. Wglądając atoli bliżej w jej działalność wytwórczą, mimowoli przychodzimy do wniosku, że najkorzystniejszym z zajęć jest proceder bankierski, zmieniający częstokroć biedne stragany kramarskie w ciągu lat kilkunastu w poważne firmy kupieckie.

Nie mamy bynajmniej na celu wyjawiać rozlicznych tajników zakulisowych, posługujących do budowy owych olbrzymich fortun, gdyż między innemi, wypadłoby nam może przytoczyć i ów policzek, udzielony przez szefa pewnego domu, jednemu z swych podwładnych, okupiony wyliczeniem na stół w gotywnie 25,000 rubli, byle tylko ów podwładny nie odkrył źródeł jego milionowej fortuny. Tak dalece pan pryncypał ujrzał się zachwianym w swych interesach, że wbrew przyjętej powszechnie zasadzie *beatus qui tenet*, uczuł się nagle zupełnie nieszcześliwym, pomimo posiadanych milionów. Głównie mamy na celu wykazać potęgę popytu i podaży pieniędzy.

Wieloliczne doświadczenia przekonały, iż pojedynczemu człowiekowi piętnaście rubli wystarcza na skromne miesięczne utrzymanie. Jeżeli przy ułatwionym kredycie dopożyczy w drugim miesiącu kilka rubli, dochód z trzeciego w połowie już tylko doń należy, gdyż drugą jego połowę wypada oddać wierzycielowi mając zato tę szansę, iż w każdym czasie w razie potrzeby, będzie gdzie dopożyczyć. Tym sposobem po upływie sześciu miesięcy przypadnie do spłaty wierzycielowi rubli dziewięćdziesiąt, a po upłacie tychże wypadnie zrobić długu sto osiemdziesiąt rubli i pracować na zapłacenie ich przez rok cały za darmo.

Wzięmy zatem za zasadę kwotę sto ośmdziesiąt rubli i wypożyczenie jej na 3^o/_o miesięcznie na rok jeden, dla spłacenia jej w dwunastu miesięcznych ratach. Procent który w takich razach potrąca się z góry, wynosi szeszedziesiąt cztery ruble, kopiejek osiemdziesiąt.

Tegoż samego dnia wypożycza drugiemu rs. sześćdziesiąt na cztery raty i potrąca procentu siedem rubli, kopiejek dwadzieścia; pozostałe z procentów rubli dwanaście, wypożycza trzeciemu, na jeden miesiąc potrącając z nich kopiejek czterdzieści pięć lub więcej.

Po upływie miesiąca wypożyczający odbiera od trzech dłużników, trzy raty w ilości rs. czterdziestu dwóch, z których potrąciwszy cztery ruble procentu, wypożycza znowu na trzy raty, a pozostałą resztę po potrąceniu czterdziestu kopiejek dostaje króś drugi.

Przeliczywszy tę grę finansową tylko przez dwanaście miesięcy, dla obliczenia ile też zyskał w ciągu jednego roku, przekonywamy się iż kandydat na przyszłego milionera udzielił pożyczek trzydzieści dwie, które mu przyniosły w korzyści rs. dwieście dziewięćdziesiąt kopiejek pięćdziesiąt pięć, oprócz zwrotu kapitału rubli sto osiemdziesiąt. Skoro zatem tak mały kapitał mógł się w ciągu roku prawie potroić, w drugim dojdzie niewątpliwie cyfry 10,000 złp. w trzecim 80,000 w czwartym 90,000 w piątym 270,000; w szóstym 810,000 w siódmym 2,430,000 złotych polsk. a przecież do cyfra dość pokaźna nawet na milionera.

Manipulacja ta jednakże odbywa się w praktyce daleko pośpieszniej gdyż milionerzy dzisiejsi zwykli powstawać nie z 3% lecz z 10% pobieranych na miesiąc procentów, czyli w razie popytu o rubla podając dziewięćdziesiąt kopiejek a odbierając za miesiąc rubla. Ii mniejsze podają sunki tym szybciej i zgrabniej zbijają krocie, a ofiarą ich zazwyczaj padają ludzie najubożsi, jako to prowadzący małe zakłady handlowe, przemysłowe i rękodzielnicze, oficyaliści i inne osoby pensyonowane, którym nie przyjdzie na myśl obliczyć, jaki jest *credit i debet* lichwiarza.

Pobierający pensyi trzysta rubli, zadłużysz się raz tylko, w ciągu lat dwudziestu nie jest w stanie opłacić swych długów, acz pracować będzie ciężko i cierpieć obok tego niedostatek. I cóż w tem dziwnego jeśli w pierwszym roku spłaci długów siedemdziesiąt pięć rubli, w drugim sto pięćdziesiąt, w trzecim dwieście dwadzieścia pięć, a w czwartym trzy-sta; w piątym już niema żyć za co i choćby był najrzetelniejszym, nie jest już w stanie pła-cić nie tylko długów ale nawet procentów. Wtedy ucieka się do jedynego środka ratunku i poczyną płacić pożyczki pożyczkami, procenta także pożyczkami i w końcu w celu zaspokożenia wszelkich swoich potrzeb używa po-życzek. Po kilkunastu latach, miewa zwykle minimum trzy razy tyle, długów ile cała jego pensya wynosi i dziwi się dlaczego płacąc i pła-ćcąc przez lat tyle, nie tylko z długów wyjść nie może, ale w coraz gorszych znajduje się interesach. Powodem całego nieszczęścia była pierwsza pożyczka, na kupno przypuścmy zło-

tego zegarka, zaciągnięta w nadziei spłacenia jej ratami w ciągu półroku. Po upływie jednak tego czasu lichwa pochłonęła zegarek, a dług pozostał długiem.

Jakie to zgubne następstwa pociąga za sobą owa piekielna gra finansowa dowiedzieliśmy się z ust pewnego upadłego w handlu kupca. Pierwotnie — mówił on — handel mój dostarczał mi na utrzymanie domu rocznie tysiąc pięćset rubli, później stagnacya handlowa ograniczyła moje wydatki do dziewięciuset rubli, następnie do sześciuset, w końcu niechęć zupełnie upaść w handlu urządziłem się zmuszonym zaciągnąć pożyczkę. Płacąc regularnie moje weksle wyrobiłem dla swej firmy kredyt ogromny tak dalece, iż na potrzeby domowe mogłem wydawać rocznie trzy tysiące rubli, obliczywszy jednakże ogólny stan interesów przekonałem się, że wartość towarów wynosiła 30,000 rubli a długi 51,000, że cały handel idzie na opłatę weksli, do których dopłacam rocznie około trzech tysięcy rubli niewiadomo z jakich źródeł.

Powiększyłem potrzeby mego domu do wysokości 10,000 rubli, handel mój stał się martwą firmą, słyszałem z rzetelności, wszyscy narzucali mi się z pożyczkami, w tem bankier mój niedostarczył przyobiecanej na termin sumy, właśnie przypadającej odemnie drugiemu do wypłaty i nazajutrz posypały się tysiące weksli przed upływem terminu i ja znalazłem się na wkrótce Lesznie.

Z tego doraźnego szkicu zdjętego z życia mieszkańców naszego grodu, spostrzegawczy umysł ekonomisty, dochodzi przyczyn i powodów rozlicznych upadłości kupieckich, których sprawcą bywa zawsze ów nierzetelny bankier, który przyobiecanej do wypożyczenia sumy, przeznaczonej do wypłaty drugiemu, niedostarcza we właściwym terminie i skutkiem tego pojawia się nazajutrz tysiące weksli acz przed upływem terminu, sprowadzając katastrofę zwaną upadłością lub bankructwem. Niefortunny stan naszego przemysłu rolniczego, fabrycznego, rękodzielniczego, powoduje również nadzwyczajna liczba kandydatów na milionerów, którzy bez pracy i kłopotu o jutro z niczego w ciągu lat kilku dochodzą milionów.

Ta anomalna przeto liczba milionerów ujawniająca się w postaci różnorodnych kantorów i różnobarwnych pośredników jest najwierniejszą wskazówką ubóstwa ogółu mieszkańców, których jak polip pochwytyła w swe objęcia wysysając wszelkie żywotne siły na swą indywidualną korzyść. Wnikając atoli głębiej w powody i przyczyny tej anomalii dochodzi-

my do wniosków, iż sami jesteśmy przyczyną własnego naszego nieszczęścia, jako zbyt lekkomyślni, nieogledni, nieprzewidujący nawet naszej przyszłości a stąd zbyt pochopni do zaciągania łatwo następczącej się pożyczki, bez względu na tę okoliczność, iż pierwsza pożyczka przygotowała już w niedalekiej przyszłości swemu klientowi torbę i kij żebraczy stawiając go nad brzegiem przepaści, z której nie ma nawet nadziei ratunku. Potrzebę pożyczki powoduje zwykle życie nad stan, chęć błyszczenia powierzchownym blaskiem, wywiązujące się z tej zgubnej zasady: jak cię widzą tak i piszą i owa bałwochwaleczka cześć oddawana przez gawiedź uliczną posiadaczom milionów.

Owa gra finansowa, prędzej lub później zbyt boleśnie oddziaływać musi na ogół, jak tego mieliśmy dowód na krachu wiedeńskim, lub ostatnim przesileniu giełdy berlińskiej. U nas ponieważ do gry tej innej zupełnie wchodzi żywioły, w innej też musi przedstawić się postaci. Tutaj na pastwę wyrabiania się milionów rzuceni są ludzie w pracy fizycznej znajdujący dla siebie utrzymanie, a ich upadek objawił się już w licznie nieopłaconem komornem i w zaborze przez właścicieli domów resztki gratów na satysfakcyą zaległego czynszu. Stopniowo posuwając się, stan taki, samem parciem konieczności wywołać musi reakcyą.

W Anglii gdzie z daleko zimniejszą krwią uciekają się do pożyczki niż u nas, pieniądź w odmiennych kierunkach szuka dla siebie pomieszczenia, a kapitaliści z wielką trudnością mogą wyprocentować swe kapitały. Dlatego też panicznym strachem przejęło miejscowych milionerów przybycie do Warszawy agenta jednego z towarzystw angielskich w celu lokalizacyi kapitałów na 4%. Usiłują go się też pozbyć wszelkimi środkami, dowodząc, że budowa trzeciego mostu na Wiśle jest przedwczesnym projektem, a zamilczając, że właśnie ów most ma być zbudowanym dla lokatorów mieszkających w 1500 nowych domach mających stanąć w ciągu lat kilku.

Tysiąc pięćset nowych domów w ciągu lat kilku wystawić w Warszawie, zawołają chórem interesowani, aby coś podobnego powtórzyć, nie dopiero dać temu wierę trzeba być szaleńcem zbiegłym wprost od Bonifratrów!!! Ależ panowie, pozwólcie zwrócić na to waszą uwagę, że projekt ten nie wyszedł od drobnych procentowiczów lub faniarzy, po jednej cegiełce skupujących na budowę pałaców, ale od tych którzy od roku 1849 do 1873 wybudowali w Londynie nowych domów 262,563; zało-

żyli 6578 nowych ulic i 71 skwerów, a długość tych nowych ulic i skwerów wynosi przeszło 1,158 mil angielskich. Tysiąc pięćset zatem nowoprojektowanych domów, nie jest żadną olbrzymią cyfrą, ale wydać się powinna nader skromnym procentem w oczach tych, którzy 10% na miesiąc uważają za normalną stopę procentową.

J. L. Kaczkowski.

Haliczanie - Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIENI

K. Wład. Wójcickiego.

(Dokończenie).

Znaleźliśmy ją po raz pierwszy w wydawnictwie p. n. *Galerya pisarzy polskich*. (Antologia zeszytami). Poznań. Nakładem braci Szerków 1840. (w kraju 24-e). Publikacyi tej wyszło dwa tomiki i cały nakład wprędce wyczerpanym został.

Bielowski za treść i osnowę tego małego arcydzieła poezyi naszej, wziął chwilę napadu Mongołów, któremu uległy ziemie polskie, a w krótkie hordy nieprzeliczone na Szląsku się rozlały. Był to rok 1241—Tatarzy pod wodzą Batego, rozbijają rycerstwo polskie, ziemie Krakowska i Sandomierska zniszczone, Kraków spalony. Dotąd lud nasz pod *Itą* pokazuje „drogę Batego“.

Chmury pogaństwa na Szląskuderzyły. Stała na czele rycerstwa z Polski, Niemiec, Szląska i Mazowsza, syn świętej Jadwigi *Henryk pobożny*. Zaszła krwawa bitwa dnia 9 kwietnia na polach *Lignicy* i tam mimo cudów waleczności, chrześcijańskie chorągwie Tatarzy rozbili i sam wódz ich poległ. Ś. Jadwiga, znajdowała się właśnie w czasie tej bitwy w *Krośnie* gdzie się schroniła wraz z siostrami zakonnymi, *Anną* synową a żoną Henryka pobożnego i jego dziećmi. Przeczula święta niewiasta klęskę rycerstwa chrześcijańskiego i przepowiedziała los bitwy. Gdy zaś małżonka Henryka wraz z innymi paniami, poddawała się rozpacz, chamowała je w żalu i wyrzekła podług Chwalszewskiego te pamiętne słowa:

„Szczęśliwa jestem, że miałam syna, który mnie w ciągu żywota swego słuchał i szanował i za kraj i wiarę, niewahał się dać gardło.“

Pieśń tę Bielowskiego, uważamy za ostatni jego śpiew łabędzi, odtąd bowiem stanowczo wyłącznie poszedł drogą mozolnych studyów

dziejów krajowych, i zajął jedno z pierwszych miejsc pomiędzy ojczystymi badaczami.

Nie możemy pominąć pięknego obrazu jakim zakończył pieśń swoją, w którym maluje osieroconą rodzinę Piastów, zgromadzoną w klasztorze Krośnieńskim.

„W gmachu, co chwała brzmi Maryi syna,
Siedziała Piastów strapiona rodzina,
Od wrzawy przygód, od niedoli chmury,
Wiara ją swemi osłaniała pióry.
Ujrzyś tam w niewiast bogobojnych gronie
Dwie wpół rozkwitłe dziewczki: ogniem płonie
Łzami zwilżone oko, na lic świeży,
Nie rzadko z serca wesoła myśl bieży;
Tak, w płochych chwilach kwietniowej pu-
[stoty,

Z pod drobnych chmur wyziera dzień złoty.
Tuż przy nich *Anna*: często w rysach dzieci
Topi wzrok smutny, myśl daleko leci,
I boże nad nią przemyka się słowo
Jakby je duszy słuchała połową.
Klasztorną ciszę poważnie przerywa
Pokutnym psalmem pani świątobliwa
Jadwiga,—cała w Bogu, a jej ciało
Postem i modły jak wosk pożółkniało;
Lecz z przejrzenia pańskich, kryje ta powłoka
Nadludzką duszę; w ognisku jej oka
Zbiega się wszelka przestrzeń, w ducha sile
Przeszłość i przyszłość w jedną spływa chwilę.
Nieraz zdawnione upory rozwadza
Miękkimi słowy, cudna słów jej władza.¹⁾
Nieraz z boleścią na niezbożnych woła,
Wskazuje zgubną przyszłość, śmierć warchola.
Niepowstał zgrzechu, lekce wziął jej słowo,
Padł nań gniew Pański i przypłacił głową.
Tak zawsze lekkość słuszną kara sięga.
Czytała w słowie bożem: przed nią księga
Skarbnicy duszy, twór pracy niezmiernej
Natchnionych myśli i ręki misternej.
Wsprawionych szykach idzie ścieg po ściegu,
Nie jedna czcionka, jak wódz świeci zbrzegu;
Umny tam pisarz w świątobliwej skrusze,
Przedziwną sztuką ku Bogu wiódł dusze,
Ożywiał słowo, myśli swej połotem,
Barwił postacie i rozświecał złotem.
Dziw to niemały, oko się wpatrywa
W rozliczne kształty: tu nielitościwa
Śmierć ostrą kosą kosi, i rozszerza
Długimi pletwy skrzydła nietoperza:
Smutny widok! owdzie wstał jak żywy
I bije skrzydłem gryf, ptak osobliwy:
Tam bicz na grzeszne, i groza dla oka,

¹⁾ Przypomnienie jak Ś. Jadwiga złagodziła krwawe spory swego męża Henryka Brodatego z dzikim Konradem księciem Mazowieckim, co pierwszy sprowadził Krzyżaków na Mazowsze.

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

— Donoszą nam z lubelskiego, że w powiecie tomaszowskim, w skutek usilnych starań komisarza włościańskiego, gminy Czerkasy, Telatyn, Rachanie wraz z osadą Łaszczów, zgodziły się na utrzymanie stałego lekarza gminnego. Lekarz p. Kapuściński, przyjął te obowiązki z płacą roczną rs. 500. Jest on pierwszym u nas lekarzem gminnym; od lat kilku lekarze tacy w Cesarstwie praktykują pod nazwą *lekarzy ziemstwa*. Nie znamy bliżej warunków pod jakimi zobowiązał się pan Kapuściński nieść swą pomoc pacjentom w charakterze lekarza gminnego, ale wiadomość o tem witamy słowami najwyższego uznania jako fakt nadzwyczaj ważnej doniosłości humanitarno-socjalnej. Odpowiednia liczba lekarzy gminnych, jako specjalistów, jedynie przyczynić się może do zmniejszenia przerażającej cyfry śmiertelności, jaka panuje między ludem wiejskim, szukającym rady w wypadkach słabości u owczarzy, bab, fel-

czerów i t. p. szarlatanów, a młodzieży kończącej kursa medyczne zapewnia odpowiednią praktykę i utrzymanie.

— Doprawdy, iż w obec powszechnej apatii co do zdrowia i życia mieszkańców, jaką tak uporczywie wiele pojedynczych jednostek usiłuje się odznaczać, niedługo w naszej Warszawie nie będzie można wyjść z domu nie zrobiwszy poprzednio rozporządzenia na przypadek nagłej i niespodziewanej śmierci, jaka nas co krok spotkać może na ulicy. Oprócz bowiem zawałania się domów, załamywania ruśztowań, przejechania końmi przez powożących i t. p. wypadków, będących niemal na porządku dziennym, jeszcze w dodatku i przez cegły spadające z kominów tutejszych właścicieli domów, można być na miejscu zabitym idąc trotuarem.

W zeszłą sobotę przechodząc około godziny 4-tej po południu przez ulicę Bagno, szczęściem poszliśmy prawą stroną, chodnikiem z brukowca, choć po lewej ułożonym jest chodnik z ciosu. Mularze pracujący około naprawy kominów domu Nr 4 upuścili trzy sztuki

cegły, które spadły na chodnik z tej wysokości, rozbiły się w drobne kawałki. Jeden z agentów policyjnych przechodzący w tym czasie, spostrzegłszy to, pobiegł natychmiast na miejsce, gdzie właśnie pracowali owi niebaczni robotnicy, ale z przerażenia niezaawżyłszy jego numeru. Szczęściem że to miało miejsce w dzień szabasu, kiedy chodnik był prawie zupełnie próżny, słońce przytem nie złe dogrzewało, i jaki taki wołał iść w cieniu acz mniej wygodnym chodnikiem, przezco uniknął niechybnej śmierci.

— Roboty ziemne około budowy kolei Nadwiślańskiej następcząją niejako pole do czynienia studyów pod względem geologicznym, w które kraj nasz jest zupełnie ubogim. Poszukiwania w tej mierze miały zaledwie miejsce w części dzisiejszych gubernii radomskiej, kieleckiej, piotrkowskiej, reszta kraju to dla ogółu prawdziwa *terra incognita*. Budująca się linia kolei Nadwiślańskiej przechodzi nader rozmaite uławicowania, między innymi wydostawszy się na lewy brzeg Wieprza za Steżycą, wchodzimy w kraj zu-

Wyrżał straszliwy łeb i paszcza smoka,
I bucha płomień i pary nieczyste,
Bije nań zgóry krzyż i imię Chrystel...
Natchniony umysł zbiera się: powstała,
Nadziemskim ogniem jej żrenica pała:
„Siostry! podnieście żale synowe!
„Nowa ofiara, winy głodzi nowe,
„Morze łask pańskich wyczerpane ze dna,
„Do łask nam pewrót krew niewinna jedna;
„Oto pogański zwycięzko powiewa
„Sztandar, padł owoc szlachetnego drzewa,
„Chrześcijan rzesza ze szczeniem zwalczona,
„Krwia się krzyżowe oblały ramiona;
„Mężna wódz pełni wyrok,—samotrzeci
„Kona śmiertelny bój; módlcie się dzieci!
„W koło go zgraja otacza zjadliwa,
„Wzniósł ramie, walczy, włóczę mupiers prze-
[szywa...

„Synu!”

Donośniej wnet głuszej i głuszej
Padał głos, dziko rozlega się w duszy
Lęk i truchliwość obleci gmach cały
Oczy i lica łzami się zalały,
Jęki i łkania powstają i rosną,
I wnet na całe rozlały się Krosno.
Na polu gesto trupami zasłanem,
Ucztuje Peta zwycięzki z *Kajdanem*,
Końskich tam pieczeń dostatkiem, a rzeką
W bawolich rogach końskie płynie mleko:
Nim się dostatnią rozdziela zdobyczą,
Obeszła pola i poległych liczą,
Z ostremi noży poseł idzie skory,
Po jednym uszu tnie i składa w wory,
Uczta skończona, wniesiono do zbiorów,
Książęcą głowę, uszu dziewięć worów.²⁾
W czerwonym wschodzie gasła zorza ranna,
Nad trupem siedzi pochylona Anna,
Skrzęple ramiona i zsiniała szyję
Ścisła, i łzami rozdartą pierś myje.
„Krwawo, o krwawo przyświecasz mi rano!
„Zbolała piersią czuję pierś kochaną,
„Ramie spotyka ramie, a żrenica
„Rozdarte serce, ni oczu, ni lica.”³⁾
Na *Dobrem-polu* bujno rośnie kwiecie
Wzgardzi nim płochy, niebożny przygniecie,
Ale z uczuciem uszczknie je mąż boży,

²⁾ „Tatarowie chcąc wiedzieć liczbę poległych, dziewięć worów skórzanych wielkich napełnili uszu, tylko u każdego jedno ucho urznawszy.” (Kronika Marcina Bielskiego).

³⁾ Tenże kronikarz pisze: „Henryka niemożono poznać, bo mu ucięli Tatarowie głowę, i nosili na drzewcu ale małżonka jego Anna, poznała go po szóstym palcu u lewej nogi, którego pochowano we Wrocławiu w kościele S. Jakuba.” Postać poległego bohatera z grobowca podałem w moim piśmie zbiorowym p. n. „Album literackie.” Warszawa 1848 r. T. I.

I w wonnym wieńcu na ołtarzu złoży
Mężnym, co legli w imię Zbawiciela!
Wiecznie się błonie murawą zaściela,
I wonne rosną kwiaty, a dla Piasta,
Ołtarz w wrocławskiej świątyni wyrasta.
Pobożna ręka we wieńce go stroi,
I patrz! powstaje walecznik we zbroi:
To on! też czoło, ta żrenica modra,
Na zbroń opadły kędzior, kord u biodra,
Sążnista w krzepkiej prawicy kopija,
Zdeptany Tatar pod nim w kłęb się zwija
Błogo po burzy przyświeca zaranie.
A w koło księża pieją zmartwychwstanie!

W utworze tym Bielowski potrafił cały dramat dziejowy, którego pamięć dotrwała do dni naszych, odzwierciedlić w opowieści nacechowanej wskroś prawdą historyczną i prostotą starych kronikarzy, w formie wysoko artystycznej, a pełnej poezji.

Szata zewnętrzna, język, przypomina okres złotego wieku literatury Jagiellońskiej. Z jakim mistrzostwem maluje przesuwające się postacie, to dzikiej barbarzyńskiej tłuszczy pogańskiej, to chorągwie walczących rycerzy chrześcijan, to zamkniętej w murach klasztornych rodziny piastowskiej.

Czytając tę pieśń, myśl zniewolona unosi się w wiek XIII, to na pole tych krwawych zapasów, to w ciche zakątki domu Bożego, w grono struchlałych a pobożnych niewiast i dzieci.

Jak powiedzieliśmy Bielowski na tym utworze skruszył pióro jako poeta: już w *album dla pogorzalców* (r. 1864), nieznajdujemy żadnej jego poezji, w miejscu jej mamy *Żywot J. D. Borkowskiego* i monografią zajmującą miasta *Rzeszowa* i jego okolic.

Lucyan Siemieński wystąpił w *Ziewonii* po raz pierwszy z mistrzowskim przekładem *Rękopisu Królowieckiego*, owego cudnego zabytku poezji czeskiej z pierwszych wieków chrześcijaństwa, w którym po raz pierwszy, ozwał się z pieśnią swoją *Zabój*—rycerz i piewca pogański. Już w *Haliczanie* mieliśmy wierne tłumaczenie wspomnianego *Rękopisu*, Siemieński, zachowując jego formę zewnętrzną rymowym wierszem przełożył, nieuroniwszy ani myśli ani wzniosłości poetycznej oryginału. Leszek Dunin Borkowski, Dominik Magnuszewski i Ludwik Jabłonowski złożyli swoje utwory poezji obok już wymienionych. Z prac prozą obejmuje *Ziewonia* oprócz *Dziennika podróży w Tatry* Seweryna Goszczyńskiego i powieści D. Magnuszewskiego: *Guy-du-Faur czyli pacta conventa*.—K. Wł. Wójcickiego rozprawkę o pieśniach ludu polskiego i obrazek *Przekupka warszawska*, wreszcie L. Siemieńskiego powieść: „*Cień Królowej Barbary*”

w której odmalował scenę, gdy sławny czarodziej Twardowski, ukazuje królowi Zygmuntowi Augustowi, cień jego zmarłej a tyle ukochanej małżonki *Barbary*.

Po wydaniu *Ziewonii* kółko nasze zaczęło przemyślać o nowej publikacji i gromadzić zasoby potemu; do gotowych już przybyły: Aleksandra Fredry i pierwsza powieść Józefa Dzierzkowskiego p. n. *Placz i śmiech*, którą rozpoczął ten pełen talentu pisarz swój literacki zawód. Bielowski obok innych poezji, przełożył wybornie dumę ludu galicyjskiego, która brzmi dotąd w jego ustach o *Doboszu*, słynnym wodzu opryszków, co miał swą stolicę na *Czarnej górze* i tu ranny śmiertelnie życia dokonał.

Materyały zebrane, zostały złożone na ręce Józefa Borkowskiego, który je wzbogacił piękną i wysokiej wartości własną rozprawą p. n. „*O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim*.”

W cztery lata po *Ziewonii* wydał je w Wiedniu p. n. *Prace literackie* i położył na czele, że to tom pierwszy, ale drugiego już nie ogłosił. W miejsce takowego zgromadzone zasoby przygotował do zbiorowego pisma p. n. *Album na korzyść pogorzalców*,⁴⁾ (Lwów 1844 r.) ale przy tej pracy śmierć go zaskoczyła, i wydał je brat jego Leszek. W nim z naszego kółka co się gromadziło przy układaniu *Ziewonii*, złożyło swe prace oprócz dwóch braci Borkowskich i Bielowskiego, w większych rozmiarach D. Magnuszewski utwory poetyczne: „*Dramat w naturze we trzech obrazach*” i szczególnej rzetelności wiersze: *Do siostr moich* i *Dwoje piastunek*. W pierwszym, przypominał sobie dziecinne lata, w towarzystwie dwóch sióstr ukochanych, w drugim już napojony gorąco życia, skargę bolesną wyrzuca z rozdartego serca. Skarga ta była jakby przecuciem smutnem, że po utraceniu ukochanej małżonki i jedynego syna, słyszy już pierwsze uderzenia godziny swej ostatniej. Jakoż w niespełna dwóch latach, spoczął w mogile, dalekiej od rodzinnego gniazda.

Bielowski, Goszczyński, Leszek Borkowski i Siemieński, dożyli jeszcze lat sędziwych do dni dzisiejszych; zgaśli, oczekują swych wiernych towarzyszy w swoich cichych a szczupłych, w łonie matki ziemi, ustroniach, które i dla całego kółka naszego, wszystkich współpracowników *Ziewonii* ostatnim będą schronieniem!

Mój Boże! czterdziesty drugi rok upłynął od owych chwil, gdyśmy jakby w drużynie braterskiej żyli. Wszyscy byli młodzi, pełni życia i pięknych nadziei, dziś szron siwizny ubiełł

pełnie różny pod względem geologicznym. Napływowe warstwy piaszczyste i mokre niziny, ustępują głębokim pokładom gliny, ułożonym na wapieniu formacji kredowej. Za Bystrzycą, głębokość warstw gliniastych schodzi do półsażenia i uwydatniają się pokłady wapienia szarawego zwanego *siwakiem*, a pod nim warstwy opoki kredowej. Kamień siwak, dobry do wypalania na wapno, ale nie jest wytrzymały na wpływy atmosferyczne i dla tego do budowy zewnętrznych murów użytym być nie może. Opoka, a mianowicie jej warstwy spodnie, właściwie kredowe, stanowią materyał budowlany, dostatecznej wytrzymałości. Łomy kamieni tych znajdują się pod wiał Krepiec, oraz w Małgwi, Biskupicach, Trzwnikach.

V okolicach Chełma odkrywa się już formacja jurajska, a w składach do niej należących, znajdują się łamy kamienne; z tych niektóre jako bardzo dobry materyał budowlany alecić można. Między Pragę a Iwanogrodem (Dęblinem) znajdują się wyniosłe wzgórza piaszczyste, stanowiące przedziały wód Świąg, Wilgi, Promnika i Okrzejki.

W ogóle nie tylko my, ale cała Europa nader jest ubogą w podobne dane, i o ile nam wiadomo dane tego rodzaju najdokładniej są zebrane w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie w ministerjum spraw wewnętrznych, zajmuje się temi czynnościami specjalna komisja, którą kieruje od lat kilkunastu dobry nasz znajomy, rodem Warszawianin.

U nas o ile nam wiadomo ostatniemi czasy mapę geologiczną części gubernii radomskiej, kieleckiej i piotrkowskiej, sporządził p. Krygar. Powiatów zaś olkuskiego, będzińskiego i częstochowskiego p. Roemer radca górniczy w Wrocławiu. Ponieważ w rzeczonych miejscowościach okazały się bogate pokłady węgla kamiennego, galmanu, rudy żelaznej, ołowiu srebrnoosnego i innych, w krótkim przeto czasie dwadzieścia kilka dóbr ziemskich z folwarkami i przyległościami, zawierających przeszło pięćdziesiąt tysięcy mórg nowopolskiej miary, przeszło w posiadanie Niemców.

Na tych obszernych przestrzeniach, gdzie przed kilku jeszcze laty wyglądały nieład i nędza wychylające się z każdej strony, dziś

widzimy wzorowe gospodarstwa i to tak w rolnictwie, jak w górnictwie i fabrykach. Spotkać tu można wszystko, czego do wzrostu potrzebują wielkie przedsięwzięcia; nauka, doświadczenie, gotowe kapitały i obszerny kredyt, wszystko godne naśladowania, a tem samem nader dla nas bolesne. Na tych obszarach pełnych życia i świetnej przyszłości, krajowców należących do średniej klasy, nie ma już śladu zupełnie; dla miejscowego zaś żywiołu pozostała jeszcze w udziale ciężka praca, ku wzbogaceniu tych, którzy tak systematycznie i nieubłaganie od wieków nas wydziedziczają.

— Zielone Świątki! prawdziwie zielone, z drzewami pokrytymi liśmi, których zieleności nie sprofonował jeszcze kurz, z pogodą na niebie i z dwoma odpustami, jednym na Bielaniach a drugim w Czerniakowie, zachęciły Warszawianów do zamiejskich wycieczek. Statki parowe co chwila odpływały z Warszawy na Bielany, niosąc na pokładach swoich setki ludzi, chcących po pracy odpocząć i zabawić się na świeżem powietrzu — pod rogatkami

skronie i wiek przyniata żelazną ręką każdego ramiona, a pomimo tylu lat ubiegłych—tylu dramatów wielkich, które się na Bożym świecie odegrały, żywe wspomnienie tamtych chwil, jakby to z wczorajszej doby, przedstawia przed oczyma duszy mojej, wszystkie postaci tak zmarłych towarzyszy jak i żyjących, których serce ukochało tak gorąco, a jedność myśli poglądów i uczuć, łączyły w bratnie ogniwa.

Zamykając nasze wspomnienia, nie mogę pominąć Tytusa hr. Działyńskiego, który bawiąc w owe czasy we Lwowie, chętnie się zbliżał do kilku z naszego grona. Wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, szczególnie był uprzejmy i pociągający w rozmowie.

Właśnie wtedy, od syna Tadeusza Czackiego z Porycka, sprzedawszy część stajni swojej za dwa tysiące dukatów, za tę sumę, jak mi sam powiadał, zakupił resztę drogich zabytków tak z literatury starożytnej, jak i pamiątek historycznych, które nie należały do zbiorów, które przeszły do Puław. Trzeba było widzieć rozradowane oblicze dostojnego hrabiego, roziskrzzone spojrzenie, gdy mi opowiadał o tych nowych zdobyczach naukowych dla swej biblioteki Kurnickiej w Wielkiem księstwie Poznańskim.

Kilka razy mnie odwiedzał, z rozmowy każdej wiele się nauczyłem, a zarazem dowiedziałem o niejednym zajmującym szczególe.

Kiedy b. Towarzystwo Przyjaciół Nauk przedsięwzięło uzupełnić dzieło Naruszewicza napisaniem szczególnych panowań królów rozpoczynając od Kazimierza Wielkiego—T. Działyński wziął na siebie panowanie Michała Korybuta, i zezwylał sobie energią, zaczął zbierać po temu materiały, ażeby się bliżej zapoznać i zbadać gruntownie tamte czasy i głównie działające osoby. Zgromadził ogromne zasoby i niemal codziennie je wzbogacał. Za najważniejszą zdobycz uważał rękopis agenta francuskiego *Verduma*, który ze szczególną zręcznością rozciągnął sieci intryg pomiędzy panami polskimi, dla zdetronizowania nieszczęśliwego króla Wiśniowieckiego a zdobycia tronu dla księcia Kondesza. Niezależnie złoła, które chętnie przyjmowano, *Verdum* przybierał rozmaite postaci: to jezuita, to bratiszka kwestarza, to żyda furmana, i docierał zarówno do warownego zamku, do wspaniałego pałacu magnatów, jak okazalszych dworów ziemiańskich, nieopuszczając i zaścianków szlacheckich. Wszędzie skutecznie umiał działać nie poznany od nikogo, przygotowywał unysły do swych zamiarów, i gdy owoc prac *Verduma* dojrzewał, opatrność inaczej zrzuciła. Jan

Sobieski hetman wielki, odnosi sławne zwycięstwo nad Turkami pod Chocimem w dzień Ś-go Marcina 1673 roku i bohater ten, który przechylał się także już na stronę Kondesza—sam jako tryumfator, objął tron po zmarłym równocześnie Michale Korybucie.

Gdy mi te szczegóły opowiadał T. Działyński z młodzieńczym zapałem, gdy wyliczał mnóstwo innych, nieznanych i niezasyłanych porywał mnie swoją opowieścią i rozjaśniał przeszłość tych czasów, tak mało zbadanych.

— Czyś już hrabia zaczął pisać to panowanie? zapytałem, gdy mi wymieniał wszystkie ważniejsze źródła do tego okresu.

— Nie ująłem jeszcze pióra—ale wszystko przeczytałem i wystudowałem. Teraz zajęty jestem wydaniem rodowodu Szydłowieckich, oddawna przygotowanego.

Jakoż podług oryginalnego rękopisu z rycinami, ogłosił ten drogi zabytek w przepysznej edycji. Wróciwszy do Kurnika swego, innemi pracami zajęty, odwrócił myśl od pierwszego zamiaru skreślenia dziejów panowania króla Michała i wśród tych zajęć śmierć go zaskoczyła.

Dostojna ta postać znakomitego męża, zasługuje na wdzięczną pamięć, bo zarabiał na nią, wszystkimi chwilami życia swojego.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.
(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

W kilka dni zaledwie po opisanem wydarzeniu, zjawił się u doży niejaki Izrael Bertuccio naczelnik robót w arsenale, przychodząc ze skargą na patrycyusza z rodziny Barbaro, który w rozprawie w twarz go uderzył.

— Cóż chcesz żebym na to poradził odrzekł Faliero, przypomnij sobie zniewagę jaką mnie wyrządzono i jak za nią Michał Steno ukarany został.

— Panie, zawołał Bertuccio, tylko mi pozwól działać, a uwolnię cię od całej arystokracji.—Ty zostaniesz prawdziwym księciem i lud nie będzie przez nią uciskany.

Faliero, któremu jak powiedziałem myśl zemsty dla całej arystokracji wrzała w piersiach, zamiast kazać uwięzić lub odprawić kusiela, rozmawiał z nim dość długo i kazał mu powrócić wkrótce.

Ośmielony poparciem doży Bertuccio, zaczął szerzyć wieści uwłaczające Barbaremu.

Barbaro udał się ze swej strony na skargę do doży. Faliero kazał wezwać Bertuccia skarcił go ostro przy skarżącym, lecz następnie kazał mu powrócić i w zamknięciu we dwóch urządzili cały zawiazek i wykonanie spisku. Bertuccio miał wybrać 17-stu naczelników sprzysiężenia, z których każdy miał dowodzić kompanią złożoną z 40 ludzi, którzy to jednak czterdziestu o niczemby nie wiedzieli. W dzień oznaczony spiskowi ze swymi ludźmi, mieli się udać w nocy na plac Ś-go Marka, a o wschodzie słońca doża miał kazać dzwonić w dzwony Ś-go Marka, których nie wolno było poruszać bez jego zezwolenia. Rozumie się, że na ten odgłos cała szlachta biegłaby do pałacu i kościoła, a wtedy spisko wi wyciełoby co do nogi, nieprzygotowanych do bitwy i rozdzielnie idących. Gdy tak cały spisek obmyślano i uradzono, Bertuccio zajął się wyborem ludzi, a gdy i ten, jak twierdził, szczęśliwie mu się udał, dzień 15 kwietnia na wykonanie przedsięwzięcia oznaczono.

Pan Bóg jednak, jak twierdzi powołany już historyk Marino Sanuto, z którego czerpię tę opowieść, czuwał nad szlachetnym miastem, zadowolony prawością i pobożnością jego mieszkańców.

Jakoż niejaki Beltram z Bergammo, wciągnięty do spisku przez Izraela Bertuccia pobiegł ostrzedz swego protektora Mikołaja Lioni, aby pod żadnym pozorem z domu nie wychodził przez dni kilka. Objasnić tu muszę, że w Wenecyi tak samo jak w Rzymie rozwinięta była instytucja klienteli. Każdy patrycyusz miał swoich klientów, byli to prości ludzie z gminu, których protegował i bronił, a którzy za to zbrojnie w jego obronę, lub wystrojeni od święta w jego orszaku występowali. Na skutek tego wyrażał się stosunek często bardzo serdeczny, tym więcej gdy Patrycyusz zwykle klientom swoim dzieci do chrztu trzymał i stawał się ich empadre (kumem).

Otóż właśnie Mikołaj Lioni był protektorem i kumem Beltrama z Bergammo i ten przez przywiązanie chciał go od śmierci uchronić. Lioni jednak inaczej skorzystał z rady Beltrama jak ten myślał, bo przedewszystkiem, kazawszy go zatrzymać, udał się na radę do Jana Gradenigo (następnie doży) znanego w mieście z rozumem i roztropnością. Zwołano natychmiast radę patrycyuszów i ci przedewszystkiem udali się do doży, który jednak udawał, że w żaden spisek nie wierzy. Wtedy zebrano radę dziesięciu, trybunał

Czerniakowskiemi i Belwederskiemi, stały wózki chłopskie oczekujące na pasażerów, aby ich powieźć do Czerniakowa, zandarmi rozstawieni po rogach ulic wiodących ku Marymonckim rogatom, czekali liczne szeregi powozów, aby strzedz porządku i karcieć chcących się wymijać woźniców.

Thunno i gwarno w lasku Bielańskim—huśtawki obleżone, namioty z piwem bawarskiem napełnione zwolennikami tego napoju, pod drzewami ojcowie rodzin dmuchają w samowary. Katarynki lub skrzypce przygrywają tańczącym na murawie parom.... tam znowu wrzawa spowodowana uchwyceniem jakiegoś amatora cudzych portmonetek—tu żydek wywołuje cetno i licho, grając z amatorami karmelków i wygrywając od nich więcej groszy niż ci słodczy od niego,—pod kościołem rozstawione kramy z zabawkami, na twarzach wszystkich uśmiech zadowolenia.

Ale Bielany tracą po trochu swój dawny charakter, gdy dawniej cały świat elegancki, spieszył na Bielany przyglądać się zabawom lub w oddalonych częściach lasku, sam używał majówki — dziś trudno go tam spotkać,

zaledwie od czasu do czasu przesunie się jakiś powóz... Wyszły z mody Bielany, jak wszystko z mody na świecie wyjść musi.

Toż samo działo się w Czerniakowie—odpust Ś-go Bonifacego przypadł w tym roku równocześnie z odpustem bielańskim, i może wpłynął na to, że mniej licznie jak zwykle pospieszono na Bielany.—W niedzielę i poniedziałek, powozowe majówki kierowały się najwięcej w stronę Wilanowa, Natolina i Królikarni.

Ci którzy pozostali w mieście rozkoszowali się kurzem ogrodu Saskiego w południe, a wieczorem pospieszili na koncert pana Fliegego do Doliny Szwajcarskiej.

— Występująca z koncertami od dnia 8 maja r. b. w Dolinie Szwajcarskiej orkiestra pod dyrekcją p. Hermana Fliege miłą sprawiła nam niespodziankę. Po Gunglu i Strausie oczekiwaliśmy znowu jakiejś niekompletnej niemieckiej kapeli, która dopiero u nas na gruncie uzupełniać miała szeregi swoich grajków... Tymczasem p. Fliege przybył do nas z orkiestrą kompletną, wyćwiczoną i składa-

jącą się przeważnie z rzeczywistych artystów. Jedność, dokładność i zapał cechujące wykonanie wszystkich utworów grywanych przez tę orkiestrę zasługują rzeczywiście na uznanie i naśladowictwo. Jeżeli już nie możemy się obejść bez obcych przybyszów, którzyby nam w lecie czas uprzyjemniłi to niechby przynajmniej przybyłszy zawsze tak się nam rekomendowali jak pan Fliege i jego armia muzyczna. Dyrektor urzędu trojakiemu rodzajowi wieczory i wszystkie z wielkiem powodzeniem. Na jednych wykonywa program przeważnie złożony z dzieł lepszych i tańców, na drugich grywa symfonie i utwory wyższej muzycznej wartości, trzecie natomiast poświęca wykonaniu dzieł jednego wyłącznie autora. Dotychczas mieliśmy taki wieczór poświęcony samemu tylko Wagnerowi.—Myśl o podobnym bobrze, a że i wykonanie wzorowe, więc szczerze przyklaskujemy dyrektorowi, który pozwolił nam nie tęsknić za lignicką kapelą Bilsego.

czterdziestki, całą szlachtę wraz z klientami których wierności możnaby zaufać, i rozpoczęło śledztwo zamknawszy się i zabezpieczwszy w samym pałacu Dożów.

Beltram natychmiast wyznał, że jego wciągnął do spisku Bertuccio i jego przyjaciel Filip Calendario, znakomity budowniczy pałacu Dożów. Obudwóch wymienionych, natychmiast aresztowano, a ci wzięci na tortury, wydali resztę spiskowych i dozę samego. Calendaria i Bertuccia tejże samej nocy powieszono przed oknami pałacu. Na drugi dzień rano aresztowano jeszcze ośmiu spiskowych, którzy już uciekali do Arezzo i tych również po badaniu i torturach podobny jak dwóch poprzednich los spotkał.

Wreszcie rada dziesięciu powziawszy przekonanie z zeznań wszystkich spiskowych i z zachowania się doży, że on rzeczywiście do spisku należał, przybrawszy dwudziestu najznakomitszej szlachty, postanowiła osądzić dożę. Cały 15 kwiecień sądzono niższych spiskowców, 16 stanął przed tym doraźnym trybunałem Marino-Faliero. Doża w ostatnich chwilach przynajmniej umiał się znaleźć z godnością, a co więcej swoim odezwaniami się właśnie zrodził przypuszczenie, że działał nie w interesie własnym ale w sprawie ludu. Niestety jednak poprzednie jego zachowanie i przyczyny które go do tego skłoniły zadają fałsz powieści niektórym historyków i idealizującym go obrazom poetów. Bądź co bądź oto jego słowa.

„Nie macie prawa mnie sądzić, boście niżsi odemnie. Pokażcie mi odpowiednie w waszych statutach postanowienie, któreby mnie pod wasz sąd poddawało, a uznaję że mnie słusznie sądzicie—aż dotąd zaś nie uznaję“. Po krótkim zaś milczeniu dodał: „Uciskaliście panującego i lud—chciałem ich od was uwolnić. Nie udało mi się—przegrałem. Nic nie zapieram i niczem się nie bronię—nic też od was nie żądam, prócz prawa mileczenia i szybkiego wyroku.“

Wyrok też nie dał się długo oczekiwać. Marino Faliero jednogłośnie na śmierć skazany został dnia 16 kwietnia w wieczór, a 17 kwietnia o świcie karę wykonać miano.

Cały sąd w komplecie udał się rano do pokojów doży. Tam odebrano mu insygnia władzy a następnie zaprowadzono na ganek wewnątrz pałacu (Coggia), gdzie został ścięty. Natychmiast po egzekucji jeden ze starszych członków Rady dziesięciu stanął w oknie dającym na plac Ś-go Marka i pokazawszy zakrwawiony miecz ludowi zawołał: „E stata fatta giustizia al traditor della patria“ (wymierzono sprawiedliwość zdrajcy ojczyzny). Następnie otworzono drzwi pałacu dotąd zamknięte i lud mógł oglądać trupa nieszczęśliwego doży.

Wieczorem ciało Marina Faliera bez żadnych obrzędów i uroczystości zawieszonem zostało na gondoli do kościoła Ś-go Piotra i Jana, gdzie pogrzebanem zostało.

Tak się zakończył ten dramat, który mógł zmienić losy i cały ustrój wewnętrzny republiki weneckiej. Ale jak powiada Sanuto: „Ludzie byli pobożni i Bóg nad nimi czuwał“. Z takim orzeczeniem trudno się spierać. Zaznaczyć mi tylko wypada, że właśnie ofiarą tego spisku, padła znakomitość kraju, jeden z najgenialniejszych architektów, budowniczy pałacu dożów Filip Calendario.

Po śmierci Calendaria, roboty koło pałacu zawiesić musiano i rozpoczęło je na nowo za doży Foscarego w r. 1423. Oprócz tego budowniczego, według planów którego cały pałac budowano, pracowali nad nim architekci: Andrzej Bregno i Antoni Learpagnino. Wreszcie w roku 1577 pożar tak nadwężył budowę pałacu, że zwołano radę artystów i archi-

tektów, na której Palladio żądał zburzenia pałacu i postawienia nowego według jego pomysłu. Jakkolwiek znakomitym Palladio był mistrzem, jednak zdanie jego się nie utrzymało, gdyż Antonio da Ponte, również świetny konstruktor mostu Rialto, podjął się wyrestaurować pałac według dawnych planów. Jakkolwiek tak dzielnie zabrał się do dzieła, że po trzech wiekach istnienia jeden kamyczek z tego arcydzieła Calendaria dotąd nie odpadł.

Przejrzyjmy teraz cuda i arcydzieła samego pałacu.

Z NAUK PRZYRODNICZYCH.

Strategika wojenna owadów.

Dokończenie.

Bitwa mrówek opisana przez Huberata.—Twierdze mrówek.—Mrowisko skartaczowane przez francuzów.—Napał pszczoł na flotylę niemiecką.—Rozpaczny czyn botanika.—Straty poniesione przez żalę.—Szarża pszczoł na dwa bataliony piechoty pruskiej w bitwie pod Sadową.—Wzmianka o niej w raporcie urzędowym Moltkego.—Inteligencja owadów.—Przyroda matką, macochą dla osobników.—Zadania życia w świecie zwierzęcym.

Owady tworzą społeczeństwa liczne, a w każdym z nich znaleźlibyśmy odmienny ustrój i instytucje. Jedne ich rzesze są tylko czasowym skupieniem się osobników, w celu zbudowania sobie wspólnego pomieszkania—inne znowu stowarzyszenia, dowodzą znajomości iście inteligentnej tego stosunku, przejawiającej się we wszystkich ich działaniach społecznych, a zwłaszcza też w wojnie. Przyrodnicy w stutomowych dziełach podali nam rysy obyczajowe pszczoł, termitów i mrówek, wprowadzające w podziw czytelnika. Jeżeli nie wierzymy tej historii skreślonej przez ludzi trzeźwomyślących—jeżeli nie przywiązujemy żadnej wartości do znakomitych nazwisk badaczy natury, ani do ich bystrej obserwacji opartej na faktach nieulegających wątpliwości—to pozostaje nam tylko jedna droga a mianowicie, całą wiedzę przyrodniczą poczytać za wytwór wyobraźni—za zbiorowisko bajek niedorzecznych. Innego pośredniego wyboru niema. W treściwym niniejszym zarysie możemy zaledwie pobeżnie zaznaczyć ważniejsze fakty, czerpnęte z historii owadów towarzyskich. Z tego też względu wybieramy takie tylko, które niezaprzeczenie wskazują pewien rozwój inteligencji w istotach tak drobnych, że z pozoru trudno byłoby istnienie czegoś podobnego w nich przypuszczać. Do faktów wzbudzających podziw wędrowców zwiedzających strefy gorące, a szczególnie Afrykę, należy niewątpliwie *budownictwo termitów i ich ustrój społeczny*. Owady te nazywane pospolicie *mrówkami białymi*, stowarzyszają się w liczbie kolosalnej, dla wzniesienia budynków, w porównaniu z którymi, biorąc pod uwagę wzrost tych architektów, najpotężniejsze budowle ludzkie są niczem.

Organizację społeczną i sposób życia termitów, w istocie zdumiewające, prawie tu pominiemy ze względu na zakres niniejszej pracy. Powiemy tylko, że obywatele tego społeczeństwa, dzielą się na kilka klas różniących się od siebie zajęciami. Podział pracy wprowadzonym został do tej republiki owadów—wybrana z mieszańców straż, czuwa nad bezpieczeństwem publicznym. Innymi słowy, każde miasto termitów posiada armię regularną, a raczej straż miejską. Osobniki z których się składa ta klasa obywateli, odróżniają się od innych silniejszą budową głowy, dłuższymi

i mocniejszymi szczękami—i rzecz osobliwsza, brakiem płci, co je zniewala do przymusowego bezżeństwa. Zapomnijmy na chwilę, że tu chodzi o owady, czyż nie przyznajemy, że w tem społeczeństwie, natura wyzwalając jego żołnierzy ze wszelkich trosk rodzinnych, pragnęła aby z całą swobodą umysłu poświęć się sprawie republiki.

Gdy gród termitów jest napadniętym, obrońcy jego śpieszą ze wszystkich stron, a jednocześnie z pomocą pewnego sygnału, ostrzegają spokojnych obywateli że miasto zagrożone zostało, niebezpieczeństwem. Następnie wspólnymi siłami, gromadnie rzucają się na nieprzyjaciela, jakkolwiek ten byłby groźnym. Atak ich jest wściekłym—w boju okazują ślepą odwagę i poświęcenie bez granic. W czasie pokoju, nowożytni ci Spartanie czuwają nad utrzymaniem porządku wewnątrz miasta, i zmuszają robotników do pracy.

Zresztą termyty nie należą do stworzeń wojowniczych—wojsko ich jest po prostu milicją obywatelską, przeznaczoną do obrony miasta, i pełnienia obowiązków policyi. Nie wydają wojny nikomu, gdyż nie powoduje niemi żadna chęć zaborów—wyruszają też do boju jedynie w razach nieuchronnej konieczności.

Termyty wznoszą budowle z ziemi, wysokością dochodzące wzrostu człowieka dojrzałego. Mury tych budynków są tak silnie ubite, że opierają się najgwałtowniejszym deszczom i zawieruchom. Anglicy bawiąc w Kafrei, często budowle termitów na piece kuchenne obracali. Owady te dochodzą 7 linij długości, samice spodziewające się zostać matkami, powiększają niesłychanie objętość i wagę ciała, tysiąc razy bowiem więcej ważą, niż termyty robocze.

Mrówki różnią się już całkiem od termitów ustrojem społecznym i obyczajami.

Któż z nas nie spotkał w lesie, tych rozległych wzgórków zapełnionych szczątkami drewnienek, około których z postawą zakłopotaną krzątają się roje ruchliwych owadów? To mrowisko. Pomijamy je zwykle i to śpiesznie, gdyż ludność tego miasteczka wcale nie żartuje z przybyszami, wchodzącymi natrętnie w jego mury. Przyrodnicy jednak nie zawahali się na chwilę, kiedy w sprawie nauki należało śledzić obyczaje mrowiej rzeszy—ze spostrzeżeń ich niektóre przytaczamy.

Mrówki są przede wszystkim wielce wojowniczego usposobienia—jeżeli nie ścierają się z nieprzyjacielem zewnętrznym, wszczynają zatargi domowe, nieraz tragicznie się kończące. Piotr Hubert naturalista genewski, jeden z najznakomitszych badaczy i historyografów mrówek, w ten sposób opisuje jedną ich bitwę:

„Dwie armie spotkały się w pół drogi od ich pomieszkań obustronnych. Walka zawiązała się na przestrzeni kilku stóp kwadratowych, a w powietrzu z tej rzezi dała się uczuć przenikająca silna woń kwaśna. Za zbliżeniem się nocy, po gorącej rozprawie, obie armie wróciły na swe stanowiska, wszakże jeszcze brzask ranny nie rozwił horyzontu, gdy wrogi wojska zawarły się znowu z sobą i rozpoczęły rzeź z większą daleko niż poprzednio zaciętością. Niekiedy jedna armia słabnąc żądała posiłków, a te przybywały jej natychmiast. W pośród boju można było dostrzedz rezerwy, odwroty lub natarcia, szarże, zasadzki, i uprowadzanie jeńców. Wreszcie bój zakończył się—z obu stron unoszono rannych.“

Czyż ten opis nie przypomina nam bitew staczanych przez ludzi?

Gdybyśmy z Europy przenieśli się do Ameryki, byłibyśmy widzami scen tegoż rodzaju, odbywających się jednak w daleko większych rozmiarach. W lasach Guyany i Brazylii polawalki są daleko rozleglejsze, gdyż hufce rycerskich mrówek, wybierających się na wypra-

wę wojenną, dochodzą miliardów. Nieraz widziano tam owe armie maszerujące przez kilka dni, w szeregu zajmującym trzysta lub czterysta stóp polskich gruntu. Patrząc na to przychodzą na myśl owe tłumy barbarzyńców które ongi zalewały Europę. O zbliżaniu się tych rzeszy zbrojnych uprzedza szum osobliwszy w powietrzu, pochodzący z ustępujących przed niemi zwierząt rozmaitego gatunku. Osadnicy których pomieszkania znajdują się na drodze pochodu tych armii, wynoszą się z domów co żywo, ustępując czasowo miejsca tej nawale. Miasta pobudowane przez mrówki amerykańskie mają ściany dochodzące dziesięciu lub dwunastu stóp pol. długości i odpowiedniej szerokości. Możemy stąd wnosić, jak kolosalnej cyfry dosięga liczba ich mieszkańców. Bardzo często się zdarza, że osadnicy nie mogąc zburzyć tych mrówczych, porzucają ziemię i gdzieindziej się przenoszą unikając przykrego sąsiedztwa. Gdy Francuzi osiedlili się w Gyanie, oddział wojska postępującego w marszu, napotkał na drodze jedną taką fortecę. Dowódzca rozkazał na około tej kolonii wykopać fosę okrągłą, zapłacić ją drzewem suchem, i to ze wszystkich stron zapalić. Po dokonaniu tego, twierdzę wraz z mieszkańcami zburzono ze szczerem kartaczami. Kartacze wymierzone na owady! czyż to nie urągawisko uwłaczające sile człowieka? Czy nie mieliśmy słuszności rzec przed chwilą, że człowiek w pewnych okolicznościach musi używać najpotężniejszych środków, chcąc walczyć przeciw tym wątlwym zwierzętom? Czyż z drugiej strony fakt powyższy nie dowodzi, że niema tak małych sił, któreby w połączeniu niewytworzyły straszliwej potęgi? Fakt ten sprawdza przyszłowie, że *jedność stanowi siłę*.

Przytaczamy tu wypadek czerpnięty z opisu wycieczki doktora Schweinfurta, do środkowej Afryki.

Było to przy przepływie Bahr-el-Abiad, jednej z gałęzi Wyższego Nilu. Wiatr dął z przeciwnej strony i statek nie mógł płynąć z żaglem. Wskutek czego kilku ludzi wylądowało holując szalupę za pomocą długiego sznura. Przypadkowo ludzie ci spotkali całą kolonję pszczoł i wiele ją zaniepokoiłi. W krótkie też oburzone owady, dotkliwie dały uczuć swą zemstę. Olbrzymia chmura tych skrzydlatych wojowników, spadła niespodziewanie na marynarzy, którzy zaledwie znaleźli czas rzucenia się do wody i przebycia jej wpław w celu dostania się do szalupy.

Wszelako pszczoły nie poczytywały się bynajmniej za pomszczone. Ścięły one uciekających aż do statku, i w zapalczywym gniewie rzuciły się na całą osadę nie oszczędzając botanika, który w swojej kajucie zajęty był najspokojniej układaniem roślin. Na raz powstaje zamieszanie ogólne—popłochu niepodobna opisać. Botanik zniemacka napadnięty i nielitościwie kąsany, z rozpaczą daje nurka i jedynie poświęceniem się kilku ludzi z osady, wybawionym zostaje z nowego niebezpieczeństwa. Po jakimś czasie pszczoły zabierają się do odwrotu—spokojność wraca lecz jakże drogo okupioną została. Z osady dwóch ludzi utraciło życie, a tylu liczono rannych ilu było walczących.

Schweinfurt dodaje, że szesnaście statków składających flotylę niemiecką, uległo po kolei napadzi tych mściwych owadów.

W kronice bohaterskich czynów pszczoł, pomieścić nam należy fakt jeden całkiem nieznan. Dotyczy on ważnego udziału, jaki brały te owady w bitwie pod Sadową. Jeżeli wążpisz czytelniku o tem i uśmiechasz się z niedowierzaniem, przeczytaj *Historję kampanii z 1866 r.* skreśloną przez generała Moltkego. Dowiesz się wtedy, że w tym pamiętnym dniu

w bliskości wsi Nedelist, o trzeciej godzinie po południu, w chwili najgorętszej bitwy dwa bataliony brygady Hanenfelda, rozstawione po za murami jednego folwarku, odpowiadały żywo na krzyżowy ogień zięjący z dwóch baterii austriackich. Jeden granat wówczas pękł w pośrodku ulów znajdujących się w znacznej liczbie w tej miejscowości. Pszczoły rozjątrzone do żywego tą napadzią, przynajmniej dla nich nieusprawiedliwioną, rzuciły się na piechotę z niepomahowaną zaciekłością—Prusacy z wielką trudnością bronili się od ukąszeń owadów i zmuszeni byli na chwilę porzucić pozycję. Tak więc pszczoły zadały zwycięzcom najzupełniejszą porażkę. Ta musiała zapewne być dość dotkliwą, kiedy raport urzędowy czyni o tej szarzy pszczoł wzmiankę. Atak pszczoł pod Nedelist na dwa bataliony pruskie, należy odtąd do wspomnień historycznych.

Moglibyśmy przytoczyć wiele innych przykładów, dowodzących jak potężną jest siłą stowarzyszenia się choćby najwątliwszych jestestw. Nie idzie nam przecież o skreślenie pracy kikutomowej, lecz o podanie niektórych faktów. Chodzi nam zresztą o zapoznanie czytelnika ze strategiką wojenną jestestw słabych, lichych z pozoru a w rzeczywistości wielce groźnych dla człowieka. W hierarchii zwierzęcej owady przedstawiają stronę obyczajową wielce ciekawą dla badacza, który śledząc zjawiska ich życia, przychodzi do wniosków niepospolitego znaczenia, a między innemi znajduje niezaprzeczone fakty rozwoju ich władz umysłowych. Obok tego nastroczać się muszą, inne jeszcze niemniej ważne uwagi. W rzeczy samej w pośród bezlitośnej walki o byt, która trwać będzie dotąd póki życie nie wygaśnie na ziemi, spostrzegamy osobliwszą troskliwość przyrody, w zabezpieczeniu gatunku od zagłady. Z drugiej wszakże strony ta opiekunka zbiorowości nie troska się wcale o jednostki. Oszczędza gatunek, lecz nie zaprzęta się wcale jego osobnikami. Jeżeli każde jestestwo od urodzenia jest obdarzone potężnym instyktem zachowawczym swego bytu, to czyż nie przejawia się to dlatego, że rozwój jego jest koniecznym do rozrodu nowej generacji? Po spełnieniu tego zadania natura, ta opiekunka dotąd protektorka, niezwłocznie je opuszcza.

Osobnik też ginie—jeżeli utrzymuje się jeszcze przez pewien czas, zawdzięcza to tylko funkcyonowaniu swych organów. Jest on niby machiną, ogrzewaną w celu pozyskania z niej pracy, po której spełnieniu pozostaje nieco węgla i wody, wywołujących obrót kółek przez niejaki czas, po opuszczeniu przyrządu przez mechanika.

Dowodzi tego jasno pogląd na życie owadów. Przewidująca i niewyczerpana troskliwość otacza jajko, następnie poczwarkę reprezentującą wiek dziecinny i młodość owadu. Gdy jednak tenże dosięgnie zupełnego rozwoju, i spełni obowiązek odrodzenia się w pokoleniu rola jego skończona.

Przyjąć dar życia i przekazać je następcom, oto główne przeznaczenie tego świata zwierzęcego, wskazane przez przyrodę.

Odpowiednio do tych jej celów każde jestestwo w hierarchii jej stworzeń jest ogniwem znikomem, gatunek zaś nieśmiertelnem—przyjmując że warunki biologiczne, a między innemi ośrodek w jakim rozwija się jego życie, nie uległy zmianom.

Wincenty Niewiadomski.

KRAWIEC-REFORMATOR

EPOPEA PROZA

przez

JEOFILA JARCZE.

PIEŚŃ I-sza.

Nie nix a nox,

czyli

Marzenie geniusza.

Słońce i gwiazdy.... to jest same gwiazdy tylko, świeciły na nocnym horyzoncie; w powietrzu roznosił się zapach kwiatów; słowiki i inne ptaki, a właściwie jeden słowik tylko, gwizdał gdzieś w gąszczu botanicznego ogrodu; po drugiej stronie alei ujazdowskiej, w rozstawionych, białych namiotach, chrapali żołnierze, śpiąc już od dwóch godzin snem błogosłownym i śniąc o szczęściu, którego się doznaje, gdy się przez dzień cały jest bohaterem i... palnie nad wieczorem kwaterek wódki...

W tak poetycznej chwili, na jedynej ławce, która wówczas, przy drodze prowadzącej do Łazienek i do podwórza Warszawskiego Obserwatorium, samotnie stała,—siedział a raczej leżał założywszy prawą na lewą nogę, pan Anastazy-Wojciech-Sylweryusz trzech imion Kortkowski i—marzył. Marzył... o cudownym fraku własnego pomysłu, którym, po wielu innych podobnego rodzaju wynalazkach, miał jeszcze uszczęśliwić nazajutrz całą męską połowę ludzkości, a który to frak cudowny powinien był mu już napewno wyjednać u ludzi rozgłos i sławę, na jaką od tak dawna zasłużył był już sobie, a jaka go jednakże najuparciej dotąd mijała.

Pan Anastazy-Wojciech-Sylweryusz trzech imion Kortkowski, myślał w tej chwili właśnie o... tużuro-szafroku, jako o najpierwszym wynalazku swoim, który go wiele, wiele bardzo pracy kosztował, a przeszedł jednak przez świat ten, jakoś bez śladu i cicho,—myślał o przedziwnej kamizelce potem, z której w potrzebie można było wywinąć kurtkę, a która jakoś także nie zrobiła po ziemi sensacyi; o innych wreszcie własnego geniuszu pomysłach, które chwalone tu i owdzie wprawdzie, protegowane na razie przez to lub owo pismo peryodyczne, zawsze wkońcu jednakże szły w zapomnienie u ludzi, należącej swemu twórcy nie jedyną chwałę. Rozwagał, ile to znieść pierwszej trzeba przygód i cierpień człowiekowi, ile nędzy, ile prześladowań od towarzyszy tegoż samego fachu,—zanim się nareszcie okiełzna smoka zawiści i na łeb mu siadłszy, swobodnie w nieśmiertelność popływie.

Pan Anastazy-Wojciech-Sylweryusz trzech imion Kortkowski, płynął właśnie marzeniem w tej chwili na takim już smoku, niby Kolumb na pierwszym okręcie Izabelli, i patrzył na szerokie morze przeznaczeń, u skraju którego, w złocistej aureoli słońca, w blaskach z szmaragdów i z rubinów świetlanych, niby na widzianym zdaleka gdzieś lądzie, powiewała chorągiew—z fraka!...

Był w rozrównieniu, którego opisać niepodobna. Oko jego błyszczało, ogniem. Usta mu drżały z zachwyty. Widział się honorowanym i czczonym już przez ludzi, na których hołdy odpowiadał skinięciem głowy zaledwie, nie dziwiąc się wcale tej ich adoracyi dla siebie, ani kwiatom bynajmniej, które mu rzucali pod stopy. Porównywał się z tym i owym geniuszem ludzkości, któremu potomność wystawiła wdzięczne po-

mniki: z Guttenbergiem — z Franklinem — z Williamem Watem — z Frańciszkim Drake wreszcie, który wynalazł kartofle... i widział też, w rynku Starego Miasta gdzie dziś mieszkał, jako też w rynku innego miasteczka gdzie się rodził, pomniki podobne na cześć swoje równie wznoszone.

Pomniki być miały z żelaza lub z brązu — miały być złożone całe po wierzchu — postument każdego miał się wznosić na sześć stóp w górę — nożyce, żelazka i inne emblematy krawiectwa, miały w wypracowanych przez Godebskiego baretach, zdobić ściany tych postumentów, gdy u ich wierzchu, genialnym dźwiękiem Syrewicza wykute, błyszczały posągi jego samego, pana Anastazego-Wojciecha-Sylweryusza trzech imion Kortkowskiego, naturalnej wielkości. Każdy z posągów był ubrany w tużuro-szlafrok; kurtko-kamizelka błyszczała na jego piersiach; lewą ręką pod bok się hardo podpierał, gdy prawą dzierżył cudowny frak w powietrzu, natchnionymi oczyma patrząc się — w jego rękawy!...

Zakreśliło się w głowie panu Anastazemu-Wojciechowi-Sylweryuszowi trzech imion Kortkowskiego, od obrazu takiego, wytworzonego rozbijałem od szczęścia marzeniem. — Chwycił się za czaszkę, jakby chciał dłońmi przytrzymać kipiące tam wulkanicznie i chcące wybuchnąć na zewnątrz myśli... A tymczasem, po nad głową jego, przechodziły spokojnie gwiazdy i słoneczne światy, szeleszcząc w cichym swym biegu, grały tajemniczy, rozkoszny rapsośd nocnej ciszy...

„O mój geniuszu! o słowo moja! — o cudowny mój fraku!“ zawołał. Zerwał się — i pobiegł, dobrym prawie kłusem, ku domowi...

A mieszkał, jak to już wiemy, na Starem Mieście.

PIEŚŃ II-ga.

Poesia in obscuro

czyli

Kto był pan Anastazy-Wojciech-Sylweryusz trzech imion Kortkowski.

Że był krawcem obecnie — tego nie ma potrzeby tłumaczyć. Lecz, jak los osobie, która tyle wyższego talentu, tyle poezji, zapala a nawet natchnienia, zdawała się nosić w swej piersi, — zdawała się tak widocznie do wyższych przeznaczoną celów, — jak los, mówię, takiej osobie, zamiast pióra, pendzla, cyrkla albo miecza, krawieckie tylko w ręce potrafił wcisnąć nożyce, — nad tem czytelnik zastanawia się zapewne, i na to ta pieśń właśnie winna mu dać odpowiedź.

Głosimy tedy, iż w pewnym zakątku kraju, w pewnej jego gubernii i w pewnym powiecie, leży małe, zbudowane z drzewa miasteczko. Miasteczko pachnie cebulą. Po rynku jego przechadzają się swobodnie świnki. Ptastwo przelotne, spragnione wody, przebiegając jesienią po nad tym rynkiem, znajduje w nim zawsze gotowe jezioro, w którym sobie dowoli zabrudza dziobki i skrzydła. Kaczki i drób inny z melancholią się po nim przechadzają.

W jednym z domków tego miasteczka, przed czterdziestu laty, urodziło się z matki Róży Brygidy z Ojndrykiewiczów, i z ojca Telesfora Donata Kortkowskiego — dziecko. Dziecię to już w kolebce okazywało nadzwyczajne przynioły. Nie chciało ssać nigdy prawej, a tylko lewą pierś matki (fantastyczność!) — po pięciu miesiącach wymawiało wyraźnie już „mama“ (krasomówstwo!) — w dziewiątym miesiącu zaczęło już pełzać po podłodze (odwaga!) — w dwunastym chodzić (przedsiębiorczość!)...

W dwa lata zaledwie jeszcze, a nie było już w miasteczku figlarza większego nad to dziecko. W siódmym roku — w siódmym! — oddano je już do szkółki. Tu bakałarz wydziwić się nie mógł chłopcu, taki był sprytny, rzutki, bystrego pojęcia i roztropny. W dwunastym roku, gdy ojca chłopaczka, dziwne koleje losów aż do Warszawy zapędziły, — chłopaczek wstąpił już do gimnazjum, i to od razu — do drugiej klasy!

W piętnastym roku zaczął pisać wiersze, wiersze wcale zgrabne i zręczne. Odnaczały się, mówiono, *trafną* i *gładką* formą, *dość* ciepłą werwą — i *dość* religijną tendencją. Wydrukowano je też w jakimś pisemku, co podobno dopiero zbiło chłopca nie na żarty z drogi. Przewróciło mu się w głowie. Przystał się uczyć. Został się na rok drugi w tej samej klasie. A gdy ciągle pisał wiersze — został się i na rok trzeci; a gdy ciągle jeszcze pisał — wyrelegowano go ze szkół (z piątej zdaje się klasy!), ze świadectwem: „*Wieszcz dobry, ale kiepski uczeń*“.

Odtąd los chłopca zaczął być już na dobre fantastycznym.

Ojciec, były młynarz, rozpuściwszy grosz cały, który sobie na mieleniu mąki z trudem zebrał, — w rozpustnej, jak mawiał stolec; gdzie chciał pokazać rodzinie małżonki swojej, na Starem Mieście od wieków zamieszkałej, że... Ojndrykiewiczówna, wychodząc za Kortkowskiego, nie zrobiła wcale megalomanii, — nie miał możności podpierania piętami syna, w jego poetycznych na Saską Kępę wycieczkach, gdzie ten, jak mówił, musiał sobie szukać wzorków do poezji, które potem przed rodziną matki swojej i przed nią samą, w pełnej *gładkiej* formy i *ciepłej* werwy rymach, ku radości ojca i wszystkich Ojndrykiewiczów, z deklamacją pełną *ciepłego* akcentu, wygłaszał. Gdy ojciec umarł w krótko, syn pozostał z matką sam na świecie, — wiele, bardzo wiele musiał przejść niesmacznych kolei. Był terminatorem uszewca najsamprzód, — żakiem wyrobnym u ślusarza potem — uczniem następnie u cukiernika — następnie chłopcem do posyłek w sklepie. Aż nareszcie, jeden z Ojndrykiewiczów, krawiec z fachu i człowiek pozytywnych widocznie, tendencji dopatrzwszy w młodzieńcu wysoki talent do krawiectwa, z tego, że ten raz złożył ośmiowiersz na *Nożyce*, którego podobno treścią była jakaś pochwała tego narzędzia, — wziął go do siebie, i tak już gwałtownie do nożyc i do igły zapędził, iż dotychczasowy nasz wieszcz i poeta, romansując już tylko z dawną Muzą swoją ukradkiem, — został wkońcu chcąc nie chcąc wcale dobrym krawcem, i ożeniwszy się jak na to z panną jeszcze krawieckiego rodu, fachowi *nożycemu* wyłącznie już poświęcić się, był zmuszon.

Natura jednakże — ta natura — która... (oj! rym niechący), która ciągnie wilka, mimo woli nawet jego, do lasu, — która Franklinowi-zecerowi kazała być gwałtem uczonym, Wolterowi - juryście filozofem i kapralowi-Napoleonowi cesarzem, — ta natura, mówię, mogła dopuścić, aby owa twórczość i zdolność do pomysłów, która się tak wcześniej, w młodzieńcu jeszcze, pociąganiem do składania rymów wykazała, zamarła całkiem teraz przy brzęku krawieckich nożyczek, i nieczem już swej obecności, w piersi krawieckiego majstra, nie zdradziła?

To też pan Anastazy-Wojciech-Sylweryusz trzech imion Kortkowski... nie przestał być wcale poetą, twórcą być nie przestał — krawcem zostawszy. *Wynalazczość* i *pomyślowość*, poetyczne przynioły, które kiedyś na polu *Sztuki Rymotwórczej*, z tak wybitnym akcentem zmanifestował, a które należycie irozwijane i kształcone, przy pewnej nauce

i przeczytaniu rozprawy: „*Omiarach polskich*“ pana Jenikego, wydałyby zeń może niegorszego wcale od wielu innych poetę, — zaczęły sobie teraz szukać karmu w obrębie rzemiosła, wśród którego znalazły się tak niespodziewanie, w obrębie rzemiosła — *krawieckiego*.

I otóż wystąpił przed oblicze zdziwionego świata, krawiec-poeta, krawiec-mistrz, krawiec-reformator!... rzemieślnik, który zamiast krajać kort sobie zwyczajnie, na przyrządowanie z niego zwyczajnych tam surdutów, oraz uświęconych tradycją fraków i kamizelek, poświęcał teraz całe godziny dni i nocy na to tylko, aby z kortu tego coś nowego, nieznanego i niebyłego, oryginalnego, jednym słowem i niezwykłego, wyrabiać. Dzierżył pióro przed tem — dziś dzierżył nożyce... Lecz narzędzie to skromne, *zwyczajnej* wartości w rękach majstrów tam innych i krawców powszednich, — przybierało w jego ręku postać Jowiszowego berła, co rzucało piorunowe iskry na — warsztat namaszczone!

Domyśleć się łatwo, ile podbna mania, że tak powiemy, biednego krawca-poety, mająca zresztą bardzo naturalne źródło i mogąca przynieść z siebie pewien nawet pożytek światu, stawała się dla niego samego szkodliwą, w razach, gdy pomyśl jego jaki wątpliwej tylko wydał się wartości... owej ludzkiej, nie do nasycenia, arogancko - cynicznej żądzy, co by to chciała zaraz, za jakieś tam pięć, dziesięć rubli, pokryć już ciało człowieka, od stóp do wierzchu głowy, samemi a już samemi cudownościami! Domyśleć się też łatwo, ile drwinek i przycinków, ile strzał trafiających prosto w serce, otrzymane musiał, za każdym takim razem, nieszcześliwy krawiecki pracownik, od innych swoich współbraci krawców, ludzi poziomych a przeto i zazdrośnych, którym jego rozgłos, jakkolwiek ten był większy lub mniejszy, stawał się nie na żarty, w wytuczonych bokach, kolką. A ileż to pieniędzy marnie przepadłych, gdy jakiś tużuro-szlafrok lub kurtko-kamizelka, pomimo widocznych zalet swoich, nieuznane od społeczeństwa, bojącego się równie jak nasze, swojskich wyrobów, na kółkach magazynu na to tylko zawisły, aby wzruszanie ramionami obudzać u kundmanów!

Z Czystej też ulicy przeszedszy wkrótce na Długą, z Długiej na Podwałę, a z Podwały na Świętojańską, znalazł się nareszcie poeta nasz pod strychem, w nędznym bardzo kącie, na Starem Mieście, gdzie rodzina jego matki, zmarłej od lat kilku, z litości mu już tylko przytułek ten dała.

(D. c. n.)

Z DOMU I DLA DOMU.

— Serwatki sztuczne.

1. *Serwatka słodka*. Świeżo dojrzone mleko krowie, owcze lub kozie, paruje się na wolnym ogniu, mieszając ustawicznie aby się nie przypaliło, dopóki nie zostanie na spodzie tłusty proszek żółtawy, do którego dodajesz tyle czystej źródlanej lub studziennej wody ile było mleka, poczem przegotowawszy, przecedza się przez gęste płótno. W ten sposób przygotowana serwatka jest tłusta i więcej pożywna niż wszelkie inne. Jest nader pożywną dla osób osłabionych nie mogących znosić mleka, dzieciom zaś służy jako zwyczajny napój.

2. *Serwatkę otrzymaną za pomocą podpuszczki* chcąc sklarować, na pół garca tejże bierze się białka od czterech jajek, rozbija dobrze z serwatką i przez kilka minut gotuje na wolnym ogniu. Następnie lejek wyklada się czystym lnianem płótnem, pokrywa bibułą,

przez którą filtruje się serwatka. Otrzymana w ten sposób serwatka będzie jasną i przezroczystą jak woda źródłana, jest przyjemniejsza w smaku od poprzedniej i mniej obciążająca żołądek.

3. Do pół garnca wrzącego mleka wsypać 1 1/2 łyżki kremor tartari (nadwinian potażu) i mieszać dopóki mleko zupełnie się nie zbiegnie, czyli nie zwarzy, potem precedzić i sklarować powyżej opisanym sposobem.

4. Można również otrzymać serwatkę dodając do pół garnca wrzącego mleka, nieco więcej niż łyżkę stołową kwasu cytrynowego, lub nieco dobrego octu winnego, lub też parę jabłek kwaskowatych pokrajanych w talarki, sliwek albo drobnych rodzenków. Kiedy mleko w gotowaniu zwarzy się należy, oczyścić je starannie z cząstek serowych i przefiltrować.

5. Do pół garnca wrzącego mleka wlać kwaterek białego wina i wymieszać dobrze, a gdy się mleko dobrze zetnie precedzić i przefiltrować.

6. Gdy się świeże mleko dobrze zagotuje, wlać doń czwartą część dobrego piwa i zamieszać, a gdy się mleko zwarzy, odcedzić serwatkę i osłodzić cukrem.

7. Zentycę wyrabiają z słodkiego owczego mleka, dodając do niej odpowiednią ilość podpuszczki.

Zbyteczny kwas w serwatkach zubożnia się dodaniem nieco kredy pławionej sproszkowanej.

Wszystkie w ogóle serwarki używane za napój zwłaszcza przez słabe osoby, najwłaściwiej pić filtrowane w sposób jako wyżej opisałyśmy.

— **Podpuszczka** wyrabia się w następujący sposób. Żołądek z świeżo zabitego cielęcia wyjąć, wysuszyć dobrze, oczyścić z chilu (płynna substancja powstała w ciągu trawienia pokarmów w kiszki, zwana inaczej mleczkiem kiszki) i natrzeć dobrze z zewnątrz i wewnątrz solą; po dwóch lub trzech dniach wypłukać starannie i na nowo solą natrzeć, po kilku godzinach zbyteczną solę otrzaskać, żołądek zasuszyć i zachować w szklanym naczyniu dobrze zakorkowanym i umieszczonym w suchym miejscu.

Następnie wziąć garniec mleka kwaśnego a drugi słodkiego, pomieszać razem, wstawić do ciepłego pieca, aby się oddzieliła serwatka, którą zlać do osobnego naczynia i włożyć do niej powyżej przysposobiony żołądek zostawiając dopóty, póki nie skwaśnie serwatka, a gdy to nastąpi przefiltrować ją przez bibułę, zlać do flaszek, szczelnie zakorkować, z wierzchu zalać lakiem, aby nie dopuścić przystępu powietrza i zachować do użytku w suchym miejscu. Żołądek zaś wypłukuje się w czystej wodzie, wysusza i zachowuje do dalszego użytku przy wyrabianiu powyższym sposobem podpuszczki.

Do wyrobu podpuszczki używać należy jedynie żołądek cielęcy jako wydajniejszy i silniejszy podpuszczkę niż pochodzące z jałoszek.

— **Pranie tkanin wełnianych.** Wszelkie tkaniny wełniane barwy niebieskiej z właściwymi jej odcieniami piorą się w rzadkiej zupie grochowej ugotowanej w miękkiej wodzie, gdyż od twardej tkanina dostaje szpecących smug, a w miejsce mydła używa się żółtek od jaj, od których wszelkie brązy, a nawet tłuste plamy popuszczają. Czerwonej zaś barwy tkaniny prać należy w miękkiej wodzie nasyconej gliną zwyczajną, używając również w miejsce mydła żółtek od jajek.

Po należytem wypraniu, płukać starannie w miękkiej wodzie dopóki groch lub glina nie zostaną zupełnie z tkaniny oczyszczone, wyłożyć w ręku z wody byle ich niewykręcać, zawiesić w powietrzu aby z reszty wody ociekły, wilgotne wymaglować przełożywszy je suchym płótnem i prasować na lewą stronę, chcąc zachować w nich pierwotną matową barwę.

Tym sposobem piorą się i chustki francuskie tejże samej barwy.

— **Pozbycie się myszy z mieszkania.** Jakkolwiek kot jest najlepszym łowcą myszy, nie w każdym jednakże domu jest cierpiącym a chcąc oczyścić wszelką miejscowość z myszy dość tylko porozrzucić roślinę dziewanny (verbascum) z kwiatem, liśćmi i korzeniem a wkrótce mieszkanie oczyści się z tych szkodników. Dziewanna bowiem, choć jest leczniczym środkiem dla ludzi, ale zabójczą trucizną na myszy. Utrzymują również, że i szczury jej znosić nie mogą i wynoszą się z tych miejsc w których znajduje się ziele powyżej rzeczony rośliny.

— **Środek przeciwko oparzeliznie.** W razie wydarzonego wypadku oparzenia, wieloliczne doświadczenia przekonały, iż najskuteczniej przykładac na obrażoną w ten sposób część ciała, kwaśną śmietanę lub mleko zsiadłe, zmieniając okłady za każdym razem jak tylko płyn ciepłeje. W czasie obłożenia Paryżo najlepszym gojącym środkiem na oparzelizny okazało się mydło oliwno-wapienne (Savon oleo calcaire). Mydło to jest wółpłenne a nie maziste. Przyrządza się zaś kłócąc z sobą razem, wapienne mleko ze zwyczajną, byle nie zjełczałą oliwą. Po ustaniu się tej mieszaniny, nadmiar wapna na dół opada, a ustaje płyn posiada własności leczące oparzelizny.

Posmarowana tym płynem część ciała oparzeniem dotknięta, natychmiast przestaje boleć, bąble się nie tworzą, tylko spalona skóra potem odchodzi.

— **Prasowanie bielizny.** Chcąc otrzymać pożądaną sztywność kołnierzyków, muszkieterów lub gorsów u koszul męskich, należy takowe krochmalić surowym a niegotowanym krochmalem i prasować na mokro. W ten sposób są prasowane w sklepach tutejszych wystawione na sprzedaż te części bielizny; o bieliznie takiej powiadają, że jest praną na sposób paryski.

— **Fałszywa czekolada.** W wielu pomniejszych handlach sprzedawaną bywa czekolada po niższych cenach niż kakao z którego bywa właściwie wyrabiana. Owa tania czekolada wyrabia się z maki prażonego słodujecmiennego, syropu kartoflanego, nieco wejśztajnu, gelatyny z dodatkiem aromatów olejku goździkowego, cynamonowego i t. p.

Chcąc się przekonać czyli czekolada jest prawdziwą lub fałszowaną, należy jedną część czekolady zagrać w dziesięciu częściach wody; po wychłodzeniu gdy opadną na dół męty brunatne, płyn filtruje się przez bibułę i jeżeli czekolada była prawdziwą, to płyn przeciekający jest klarowny czerwony i właściwego smaku kakao. W razie zafałszowania czekolady, płyn sący się powoli, jest mętny, żółtawy, smak ma jakiś dziwny, słodkawy a na bibule osadza się masa gęsta i lepka.

— **Tani i szybki sposób karmienia ptastwa domowego.** Wszelki gatunek drobiu domowego można w ciągu kilku a najdalej kilkunastu dni ukarmić tak, że będzie tłusty i smaczny,

mieszając z wszelkim zadawanym mu pokarmem mialko zmielone węgle drzewne i dając przytem pić podostatkiem. Woda powinna ciągle stać w naczyniach, aby za każdym razem ptak mógł zaspokoić palące go pragnienie, gdyż w razie braku bardzo łatwo zdycha.

Karmienie to jednakże z korzyścią może być użyte w razach jeśli ptak ma być wkrótce zabity na kuchnię, łatwo bowiem zdycha skutkiem spalania się w nim wątroby i trzewiów, wymaga zatem nadzwyczaj wielkiej czujności, ze strony karmiącej w ten sposób ptastwo domowe gospodni.

ROZMAITOSCI.

— Amadeusz książę Aosty, młodszy syn króla Wiktora Emanuela zamierza wydać niezadługo w Turynie nader ciekawe dzieło. Tytuł jego będzie „Le memorie d'un re“ (pamiętniki króla), treści zaś dostarczył dostojnemu autorowi dzieje krótkiego jego panowania w Hiszpanii.

— **Straszny wypadek** zdarzył się znowu niedawno na wodach oceanu atlantyckiego. Parowiec „Schiller“ będący własnością towarzystwa Orzeł w Hamburgu, rozbił się na skałach Bishops-Rock przy wyspach Scylli. Na pokładzie tego statku, oprócz mnóstwa kufrów i pakunków oraz 300,000 dolarów w złocie, znajdowało się parę set osób; cyfra ich nie jest dokładnie wiadomą i wynosiła według jednych 190, według drugich 250 pasażerów i załogi. Wyratowano zaledwie kilkadziesiąt osób. Kapitan dowodzący statkiem był do końca na swoim stanowisku i zginął wraz z innymi. Przyczyną rozbicia miała być gęsta mgła i niespodzianie przyspieszony bieg parowca — tak iż ani kapitan ani sternik nie wiedzieli dokładnie gdzie się znajdują i pierwsze uderzenie o podwodne skały nastąpiło wtedy, kiedy sądzili, że są od nich odaleni jeszcze o kilka mil angielskich.

— Sąd przysięgłych w Finisterre wydał wyrok śmierci na kobietę nazwiskiem Bodore, której udowodniono iż z rozmysłem otruła kilkoro swoich dzieci. Sąd kasacyjny nie przyjął odwołania się zbrodniarki i wyrok będzie na niej wykonany.

— Włoszanie P. E., który ukończył kurs nauk w jednej ze szkół ludowych w Rosji, napisał cztero-aktowy dramat z życia ludowego p. t. Bieda w skutek szczęścia (Gore od szczastia). Znałcy, którzy mieli sposobność poznania tego utworu wyrażają się o nim z wielkimi pochwałami i nakłonili już podobno autora aby swój utwór złożył pod ocenę komitetu literacko-teatralnego w Petersburgu.

— Sąd przysięgłych w Wiedniu rozpoznawał w dniu 10 b. m. sprawę panny Wandy Bogdani-Kleczkowskiej, oskarżonej o zbrodnie oszustwa. O aresztowaniu tej śpiewaczki we Lwowie pisaliśmy w swoim czasie, dziś więc przytaczamy niektóre szczegóły dotyczące tej sprawy. Prokuratora w długim akcie oskarżenia zarzuca pannie Wiktorji Wandzie Kleczkowskiej, znanej w świecie artystycznym pod przybranym nazwiskiem Bogdani, nadużycie kredytu ze szkoda wielu osób, nietylko niemożność ale i niechęć płacenia swych długów, oraz wprowadzanie w błąd swych wierzycieli przez przywłaszczenie sobie hrabiowskiego tytułu. W trakcie sprawy sąd przesłuchał 21 świadków z których 19 zeznawało na korzyść obwinionej a dwóch tylko obciążająco. Odczytano ważny i przychylny dla p. Kleczkowskiej list jednego z jej wierzycieli paryskich, który zrobił dobre wrażenie i nareszcie za pomocą metryki ojca obwinionej wykazano, że panna Kleczkowska miała prawo do tytułu szlacheckiego a nawet i hrabiowskiego, gdyż rodzina jej należy do starożytnych w kraju. Wskutek takiego przebiegu sprawy sąd przysięgłych uwolnił pannę Kleczkowską, jednomyślnie z uczynionego jej zarzutu oszustwa, a licznie zebrana w sali sądowej publiczność wyrok ten przyjęła bardzo życzliwie. Korzystając z takiego usposobienia publiczności dla artystki, p. Haseman, dyrektor opery komicznej w Wiedniu postanowił urządzić koncert na dochód sympatycznej kontraltystki, która w ciągu zeszłego sezonu była ozdobą jego teatru.

— **Taniejew**, dyrektor teatru, który w Paryżu dawał w sali Ventadour przedstawienia rosyjskiej opery p. t. „Wesele w XVI wieku“, straciwszy na to przedsiębiorstwo cały swój kapitał, wynoszący około 20,000 rubli i narobiwszy wiele długów, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu.

TREŚĆ NUMERU: Milionerzy przez J. L. Kaczkowskiego — Haliczanie Ziewonia, przez Wł. K. Wójcickiego. Dokończenie. — Etapy Suchotnicze. Listy z podróży Kazimierza Z. rok 1867 do 1869 (c. d.). — Z nauk przyrodniczych, strategika wojenna owadów; (dokończenie). — Krawiec-Reformator przez Teofila Tarczę. — Z domu i dla domu. — Rozmaitości. — Wodcinku: Z kroniki dwutygodniowej — W dodatku Przysięga Debenhama ark. 8.

PRZYSIEGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 33).

— Duch piękna może się więc według pana ukrywać pod niezgoda dźwięków!—powiedziała panna Alleyne z uśmiechem,

— W muzyce Wagnera, — tak, ale trzeba mieć wysoce rozwinięty zmysł analizowania, żeby go odkryć.

— Czy król Ludwik zmysł ten posiada?

— Król Ludwik nie jest Peryklosem, ani nawet drugim Karolem Augustem, ale posiada rzeczywiste zamiłowanie i znajomość muzyki—odpowiedział Debenham. Nie mogę powiedzieć czy jest analistą w technicznym znaczeniu tego słowa, ale jak mówiłem ma znajomość sztuki konieczną potrzebną, żeby przejrzeć przez nieokrzesaną, a często dziwną powłokę, w którą Wagner owija swoje muzykalne myśli. Posiada on równie bogate źródła śpiewności jak inni kompozytorowie, ale mniej ją ceni i inaczej jej używa. Trzeba także pamiętać, że całe jego życie było działaniem przeciwko szkole melodystów, każde jego dzieło protestacją przeciw Belliniemu i jego uczniom. Jak zwykle bywa, zdaleko posuwa swoją teorią, nie dosyć mu zaprzeczyć, że śpiew ma pierwszorzędne znaczenie w muzyce, nie dosyć mu postawić śpiew na stopniu równości z harmonią, lecz hać go koniecznie upośledzić, używa go jako prostego dodatku, gdzie najniepotrzebniejszy i gdzie najmniej widoczny.

— Jak hrabia Monte-Cristo, który nigdy nie nosił klejnotów, ale kazał wydrążyć szmaragd wartości nieocenionej na pudełko do cukierków,—powiedziała panna Alleyne.

— P. Debenham jest pierwszym wielbicielem Wagnera, z którym miałem przyjemność mówić,—zauważył artysta.

— Przepraszam,—odpowiedział Debenham, nie liczę się do rzędu wielbiceli Wagnera. Uznaję jego talent, ale nie mogę pochwalić jego stylu. Uważam piękność za cel sztuki, jak prawdę za cel nauki, i muzyka z której śpiew jest wgnany, lub w której jest tak ukryty jakby istotnie był wgnany, jest według mnie nieartystyczną. Jednak, twórca Tannhäusera jest człowiekiem niepospolitym.

— I oryginalnym?

— Nadzwyczaj oryginalnym,—powiedział Debenham—jedyn tylko jest Ryszard Wagner.

— I Ludwik Bawarski jego prorok.

— Ale jeżeli król posiada, jak mówi p. Debenham, prawdziwe zamiłowanie i znajomość sztuki i umie oceniać tak mądrą i trudną muzykę, jak Wagnera, dlaczego mu odmawiać nazwiska drugiego Karola Augusta?—zapytała panna Alleyne.

— Książę Goethego, moja droga, zawsze umiał zachować swoje godność. Nigdy nie powiedział i nie nie zrobił, co by go uczyniło śmiesznym w oczach świata, ale Król Ludwik jest... powiedziałem że jest podobnym; jego kłótnie, a następnie pogodzenia z Wagnerem są sławne.

— Jednak, jeżeli ma tyle nauki i smaku...

— Lękam się że w żadnym przypadku nie będzie go można porównać z człowiekiem tak

szlachetnym i tak silnego charakteru jak Karol August—powiedział Debenham.

— A wasz Wielki książę z Zollenstrasse, czy jest muzykalnym?—zapytał p. Alleyne.

— Jest podobnym do naszej akademii—odpowiedział Debenham z uśmiechem. Jest wszystkim po trochu. Maluje trochę, komponuje trochę, trochę rzeźbi, równie zręcznie się obchodzi z warsztatem tokarza jak ze smyczkiem, i tak łatwo napisze śpiewkę jak utoczy igielnik.

— Spodziewam się, że pan nie chcesz powiedzieć, iż nauki są prowadzone w akademii według tego wzoru?

— Owszem, z tą różnicą tylko, że każdy uczy się gruntownie jednej rzeczy, a trochę wszystkich innych.

— A pan zapewne uczyłeś się gruntownie muzyki, a trochę innych sztuk pięknych. Czy pan malujecie?

— Rysuję cokolwiek. Nie można się nie nauczyć kiedy wszyscy współ-uczniowie są artystami,—odpowiedział młody człowiek tłómacząc się.

— Spodziewam się, że mi pan pokażesz swoje rysunki?

Ale Debenham zaręczył, że nigdyby nie miał tyle odwagi, i gdy zegar w kuchni wybił w tej chwili głośno jedenastą, powstał żeby się pożegnać.

— Wystraszyłem pana,—powiedział artysta. Ale mam nadzieję, że mi je pan jednak jutro pokażesz. Czy się tu panowie zatrzymają przez jutro.

— O tak, zostaniemy tu przez dzień jutrzejszy.

— Nie pytam się czy się tu panowie zatrzymacie jakiś czas; to takie nędzne miejsce, i rzeka jest o wiele piękniejsza wyżej.

— Nie mogę powiedzieć — odpowiedział Debenham z udaną obojętnością, — zależy to od rybołówstwa naszego. Jeżeli dużo tu znajdziemy zatrudnienia, pozostaniemy może dni kilka.

— Spodziewam się więc, że połów ryb będzie obfitym — powiedział p. Alleyne. — Dobranoc.

Podali sobie ręce i rozeszli się; ale Debenham nie śmiał panny Alleyne ścisnąć za rękę. Głęboko się jej tylko uklonił, i Arczy, który właśnie dłoń swoją wyciągał, zatrzymał się i także się uklonił.

— To zapewne zagraniczny zwyczaj — powiedział, gdy wchodzili na górę.

— Co jest zagranicznym zwyczajem?

— Nie podałeś ręki pannie Alleyne.

— Nie wiem jakie są angielskie zwyczaje—odpowiedział Debenham, nie mogę więc odgadnąć w czym się niezasłowałem do nich, ale zagranicą żaden mężczyzna nie śmiałby podać ręki młodej osobie. Byłaby to poufałość nadzwyczajna.

— Nie powiedziałeś jej nawet dobranoc, czy i to byłoby poufałością?

— Zdaje mi się. Jakież mam prawo życzyć jej dobrej nocy. Gdyby to były jej urodziny, czy byłbym śmiały złożyć jej moje życzenia?

— Nie — jeżeli w takim świetle na to patrzysz; ale podług mnie, jest to światło niewłaściwe. Wolę angielskie zwyczaje. Miałem wielką ochotę ścisnąć ją za rękę,—wielką.

— Dobranoc—powiedział Debenham.

Byli już na górze i rękę miał na kłamce od drzwi swego pokoju.

— Nie spiesz się tak, chciałem się o coś zapytać. Cóżś to mówił, że się tu kilka dni zatrzymamy? Czy masz ten zamiar.

— Czy go mam?—może. Nie wiem.

— Zdawało mi się, że tak ci było pilno w dalszą drogę. Nie miałem wyobrażenia, że tak lubisz ryby łowić.

— Mój kochany — powiedział Debenham z niecierpliwością, będziemy mieli czas jutro o tem pomówić. Teraz idźmy spać; okropnie jestem zmęczony.

— Bardzo dobrze. Pytałem cię bo mnie to dziwiło; chciałeś nawet koniecznie być dzisiaj na noc w Monmouth. Ale mnie wszystko jedno, i jeżeli ci się to miejsce podoba...

— Dobranoc Arczy.

— Dobranoc—ale, wiesz co...

— Cóż takiego?

— Ta panna Alleyne jest doprawdy śliczna.

Debenham zamknął mu drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ XII.

Pierwszy raz.

Następny dzień, i drugi po nim i jeszcze następny minął, a Temple Debenham, z niewymownym zdziwieniem i znudzeniem swego przyjaciela, ciągle przebywał w Chillingford. Miejsce mu się podobało, gospodyni mu się podobała, *Srebrny Pstrąg* mu się podobał, p. Alleyne mu się podobał, słowem wszystko mu się podobało, tylko nie podobało mu się, trzymać się planów, ułożonych kiedy opuszczali Londyn. Arczy, chociaż ani *Srebrny Pstrąg*, ani gospodyni, ani p. Alleyne mu się niepodobali wzdychał tylko i poddawał się. Było już weszło w zwyczaj, że Debenham robił co sam chciał a Arczy robił co chciał Debenham; przyjaźń ich od początku oparła się na takich podstawach, i skutki tego były zawsze zadawalające.

Ale tym razem uległość ta, trochę ciążyła Arczybaldowi. Zaledwie miasto opuścili, pogoda im sprzyjała, prawie żadnej jeszcze nie użyli przyjemności a Debenham już się zatrzymał i nie okazywał zamiaru ruszenia w dalszą drogę. Nie dosyć na tem, spotkali jakichś nieznajomych, którzy rysowali i rozmawiali szeroko o niemieckiej estetyce i im to jego przyjaciel poświęcił czas i zdolności swoje, gdy Arczy, nie umiając ani rysować, ani mówić o niemieckiej estetyce, okropnie się nudził.

Tymczasem Temple Debenham zakochał się bezpowrotnie i to *pierwszy raz!* Do tej chwili, nie dbał o żadną kobietę, prócz matki, nie znał nawet przemijających upodobań młodego chłopca, i nigdy serce jego mocniej nie zabiło, chociaż tak wiele pięknych oczów widział w Zollenstrasse. Towarzysze jego szkolni z równą gorliwością dbali o długość swych włosów i wąsów jak o zadowolenie czulej strony życia; miłość była dla nich stanem chronicznym i niepotrafiliby żyć inaczej. Może widok tych wiecznie zakochanych młodzików, spokojnie rozmawiających o swoich Grethen lub Annchen, a zapijających równocześnie Bawarskie piwo i palących fajkę pod cieniem wielkich lip, był po części przyczyną obojętności Debenhama. Zawiele patrzył na miłość, i jak dozorca w szpitalu podczas zaraźliwej gorączki, tak się przyzwyczaił do tej atmosfery, że niebezpieczeństwa nie było już dla niego. Dopiero gdy z niej wyszedł, mógł się obawiać; koralowe usta i świeże lica równie stały się powabnymi dla niego jak dla innych ludzi, przyszła nań także kolej uleść epidemii ogólnej nazwanej miłością, i jak wszyscy którzy późno jej ulegają, od razu ciężko na nią zapadł.

Złe się już prawie stało, zanim je spostrzegł. Kiedy siedział przed domem tego pierwszego wieczora, słuchając słodkich dźwięków jej głosu, serce jego do niej już należało. Łagodne cienie wieczoru, gwiazdy migocące nad jego głową, spokój i poezya nadchodzącej nocy, niezwykłość położenia, wszystko go usposabiało do nowych a silnych wrażeń. Był

w stanie, w którym człowiek musi się zachować, i kiedy ojciec jej wyszedł i zaprowadził go przed nią, kiedy ją ujrzał i postrzegł, że twarz miała równie piękną jak głos łagodny, przeznaczenie jego spełniło się—był tak szalenie zakochany jak jaki Fritz lub Heinrich z których tak nielitościwie wyśmiewał się za dawnych czasów w Zollenstrasse.

Jeżeli czas wolno i nudno upływał dla biednego Arczy, dla Debenhama dnie i godziny mijały jakby jedna chwila rozkoszy i upojenia. Chillingford był dla niego ziemskim rajem. Nigdy powietrze nie wydało mu się równie czystym i wonnym, nigdy niebo nie było tak lazurowym, słońce tak jasnym, pagórki tak zielone. Zdawało mu się, że jakiś czar niepojęty i subtelny nagle ogarnął całą ziemię; przyroda nigdy dla niego tak pojętna nie była; nigdy przynajmniej nie czuł tak bardzo, nieograniczonej piękności pól i lasów.

Cały dzień przepędzał z panną Alleyne lub blisko niej. Urządzał spacer, uczył ją, lub udawał że ją uczy łowić ryby na wędkę; rysował, a p. Alleyne poprawiał błędy perspektywy; czytywał głośno, gdy ojciec malował przed swoim namiotem a córka siedziała w cieniu, zajęta jakąś robotą podobną do delikatnej koronki; rozmawiał, i jak rozmawiał Nigdy pamięć jego nie była tak bogatą, wyobraźnia tak żywą, porównania tak szczęśliwe. Wszystkie skarby umiejętności wykazywał i przypominał sobie rzeczy dawno zapomniane, jak gdyby wczoraj o nich słyszał. Zdawało mu się, że dotąd nie wiedział jak wiele myślał i jak obszerne było pole jego badań, ale bo też dotąd nigdy nie kochał, a miłość jest najdzielniejszym bodźcem: zaostreza umysł jak niebezpieczeństwo, działa na pamięć jak nienawiść, a na wolę jak ambicja; zapala wyobraźnię jak *haszysz*, jak wino upaja! Człowiek prawdziwie wielkiego umysłu, który kochając po raz pierwszy, kocha z całą siłą inteligencji i z całym ogniem krwi, czuje się zdolnym do wszystkiego. Trzyma w ręku świat i jego dary; powinien tylko chcieć i działać; nie jest już człowiekiem ale pół-bogiem.

Tak się też stało z Templem Debenham. Nowy świat roztworzył się przed nim, nowe życie w niego wstąpiło, aureola nadziei i szczęścia otaczała jego głowę. Zachwycony, natchniony, czuł sercem bohatera, słowami poety przemawiał; cały jego geniusz w ogień miłości się zamienił; oziębłość, egoizm, surowość jego natury, znikły nagle, jakby pochłonięte tym wielkim płomieniem. Pragnął coś niezwykłego uczynić, żeby być godniejszym jej miłości, z radością byłby spełnił dla niej jakie wielkie poświęcenie lub zniósł ciężką boleść. Jednym słowem, był gotów targnąć się na niepodobieństwo.

Był to stan rzeczy nie mogący pozostać długo tajemnicą dla wszystkich otaczających go osób. Gospodyni *Srebrnego Pstręga* natychmiast go odkryła i oznajmiła naturalnie swej siostrze zamężnej, mężowi siostry, siostrzenicy jej męża i wszystkim swym przyjaciółkom, przyjaciółom i znajomym. Czerwona, ruda, nieporządna dziewczka, nazwana przez grzeczność pokojówką, równie prędko zrobiła to odkrycie i podzieliła się swą wiadomością ze wszystkimi kumuskami i dziewczynami na wsi. Arczy z niewypowiedzianem przerażeniem, czwartego dnia spostrzegł co się święci.

P. Alleyne który, jak wszyscy egoiści, nie zważał na to co nie dotyczyło jego wygody, malował i rozmawiał, pił swoje wino i palił wonne hawańskie cygara, z najzupełniejszą obojętnością dla dramatu odgrywanego się przed jego oczami. Nic nie wi-

dział, lub jeżeli co widział, brał to tylko za przemijającą i nic nieznaczącą zabawkę.

A panna Alleyne?

Panna Alleyne była kobietą, a żadna kobieta, jakkolwiek skromna lub niepojętna, nigdy nią nie była do tego stopnia, żeby nie umiała poznać iż jest przedmiotem uwielbienia ze strony mężczyzny. Julia Alleyne doskonale odrazu widziała, że ją Debenham uwielbiał; ale była przyzwyczajoną do tego, i nawet trochę tem znudzona, a przynajmniej tak jej się zdawało. Przyjmowała jego hołdy jako należne sobie i nie więcej do nich przywiązywała wagi jak do hołdów nieraz już jej oddawanych. Słuchała go jednak, i poznała, że warto go było słuchać. Zapisywała sobie książki które pochwalili, i autorów których czytywała, myślała często jak i kiedy go zobaczy; czy do nich przyjdzie do namiotu, lub czy go spotkają jeszcze w Chillingford i razem się promem przeprawią. Wieczór, siedząc na łóżku nim się położyła, przypominała sobie różne rzeczy, które mówił podczas dnia i jak wyglądał kiedy je mówił. Może nawet zaczynała uczuć brak jakiś kiedy go nie było, i oczekiwać na odgłos jego kroków po piasku lub jego głosu na schodach. Ale o tem wszystkim nie miała jeszcze świadomości. Lubiła go naturalnie, i byłaby bardzo szczerze odpowiedziała, gdyby ją o to pytano, ale żeby go więcej lubiła niż każdą inną osobę w podobnych okolicznościach, ta myśl ani przez chwilę w głowie jej nie powstała.

I tak znajomość ich stawała się coraz bliższą a żadne przecucie miłości, prawdziwej, gwałtownej, namiętnej; miłości jaką ten nieznamy o czarnych oczach mógł nietylko uczuć ale i natchnąć,—nie rozświeciło jeszcze jej duszy.

ROZDZIAŁ XIII.

Kościół w górach.

Przechadzając się w skwarne godziny południa pod cieniem wonnych lasów sosnowych, wdrapując się o zachodzie słońca stromemi i kamienistymi ścieżkami na wszystkie okoliczne wzgórza, chodząc razem przy blasku księżyca wzdłuż krętej i srebrzystej rzeki, czytając Szekspira pod cieniem starożytnych dębów, zbierając polne kwiaty wśród zboża i poziomki w lesie, słuchając śpiewu słowika o zmierzchu i powtarzanego echem głosu kukułki wśród dnia, rozmawiając o muzyce, o sztuce, o poezji, o miejscach i ludziach sławnych w historii, o utworach wyobraźni, o Alpach i krajach wiecznolśnecznych, o wszystkim—tylko nie o miłości, oboje spędzali dzień szczęśliwie, myśląc tylko o błogiej teraźniejszości, jakgdyby ani przeszłość ani przyszłość dla nich nie istniała.

Czarowne to były chwile! Czarowne, ale konieczne krótkotrwałe. Tajemnica miłości musi się stać jawną i jakkolwiek słodkimi jest milczące wycieczki, kochankowie muszą przemówić i raz je zakończyć. Niewiele dni upłynęło, gdy Debenham przemówił wywołując to zakończenie.

Jak się to stało—zobaczmy.

Panna Alleyne mówiła, że życzyła sobie słyszeć go grającego a gospodyni powiedziała im o kościełku ukrytym wśród gór, o pół mili drogi, gdzie były organy. Debenham się wyśmiał o osła i pewnego pięknego popołudnia wybrali się, Panna Alleyne na czele na swym osle prowadzonym przez Debenhama, a p. Alleyne i Arczy w tyle.

Droga była stroma i prowadziła po większej części wśród młodych plantacji i pustych poręb, tak że w ogóle nikogo nie spotkali, dopóki nie doszli do pastwiska obrosniętego jałowcami za którym stało sześć czy osiem wałujących się chałup. Tam wskazano im drogę jeszcze

w górę idącą i nareszcie ujrzeli dawne probostwo na wpół ukryte pomiędzy drzewami i maleńki kościółek tak obrosnięty bluszczem, że tylko okna, drzwi, dzwonniczka drewniana i część dachu, wyglądały z pod tego zielonego płaszcza. Wejście na cmentarz nie było zamknięte, kuc pastora pał się pomiędzy grobami i drzwi kościoła także na rozcież były otwarte; panna Alleyne zsiadła z osła, którego przywiązano do bramy.

Trudno byłoby sobie wyobrazić smutniejszy spokojniejszy i zarazem równie starożytny kościółek. Belki podtrzymujące sufit, ławki, ambona, wszystko było z czarnego dębu, stoczonego przez robaki. Dawne herby i grobowe kamienie pokrywały ściany. Stapania mnogich pokoleń wyżłobiły w wielu miejscach kamienią posadzkę i zatarły prawie napisy na dwóch spiżowych płytach przed balustradą od ołtarza. Okna tak były zacienione bluszczem i okryte kilkowiekową kurzawą, że niepodobna było odkryć barw kilku kawałków kolorowanego szkła. Organy stały w ciemnym kącie, koło chóru, prawie całkiem osłonięte wypłowiałą czerwoną franką.

— A teraz, kochany panie Debenham, rzekł p. Alleyne, robiąc honory miejscowości, jakgdyby był właścicielem zamku lub biskupem dycezyi, z niecierpliwością oczekujemy chwili usłyszenia gry twojej. Czy organy zamknięte? W takim razie musimy się udać do probostwa po klucz.

— Nie są zamknięte, powiedziała panna Alleyne, zaglądając pod frankę, są otwarte; jakież to dziwne organy. Mają klawisze hebanowe, jak gdyby ze starości wszystkie zęby poczerniały i tak wyglądają słabe i zgrzybiałe, że zdaje się niepodobieństwem, żeby im trochę głosu jeszcze pozostało.

— Oto są ślady napisu, powiedział artysta, patrząc przez lornetkę, ale złoto tak jest wytarte i tak tu jest ciemno, że nie mogę nic wyчитать.

Debenham, usiadłszy na miejscu przeznaczonym dla organisty, schylił się i przeczytał głośno. Edward Fisher, fecit, Londyn 1622.

— Mają blisko dwieście pięćdziesiąt lat, rzekł, przebiegając lekko palcami po klawiszach, które wydały odgłos suchy, jak gdyby szczęk starych kości, gdyż wiatru nie było w miechach. Dwieście pięćdziesiąt lat, długi żywot dla takiego instrumentu z drzewa i żelaza. Milton mógł być na nich grać, a Cromwell im się przysłuchiwać.

— Czy przez te wszystkie lata były ukryte w tym kościółku pomiędzy górami? zapytała panna Alleyne. Chciałabym wiedzieć ich historią.

— Różnym zmianom pewnie podlegały, odpowiedział Debenham, nieraz przechodziły na inną wiarę i innego monarchę czciły, bądźmy tego pewni. Organy łatwo się przeniewierzają a te są takie stare, że wiele razy musiały zmieniać przekonania. Były po kolei po stronie króla i po stronie protektora, za katolikami i za protestantami, towarzyszyły psalmom Puritanów za rzecząpospolitą, albo mszom Pastryńny za Jakuba II. Nie ma nic na świecie tak zmiennego jak organy i dzwony kościelne.

— Lub jak kobieta,—rzekł pan Alleyne.

Ta uwaga, mój ojcze, nie ma nawet zasługi być nową, powiedziała córka śmiejąc się.

— Wieczne prawdy nigdy jej nie mają, kochanko. Ale ktoś musi panu Debenhamowi kalikować.

— Ja będę kalikował, rzekł żywo Arczy.

— Ale pan pozwolisz, że cię zastąpię, kiedy będziesz zmęczony, rzekł łaskawie artysta.

Arczy się rozśmiał i potrząsł głową. Tymczasem zdjął surdut.

(Dalszy ciąg nastąpi.)